Nr. 47. Warszawa, dnia 13 (25) Listopada 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Dzień 16 Listopada.

Dzień ten pamiętnym będzie w dziejach trzeciej rzeczypospolitej; utrzyma swe znaczenie przynajmniej w dziejach jej parlamentu, gdy w ogólnych już wspomnienie jego zblaknie. Pociągnięty przed kratki w pierwszym dniu zebrania się Izby deputowanych prezes gabinetu zażądał złączenia wszystkich interpelacyj nad ogólną polityką rządu w jednę i zapowiedział, że nie zadowoli się żadną taką uchwałą, któraby mu nie dała bezwzględnego votum zaufania. Zaczęto tedy nazajutrz, d. 15 b. m. rozprawiać nad niegodziwością p. Waldeck-Rousseau i jego kolegów w gabinecie. W przedniej straży krasomówstwa wyruszył Denys Cochin, monarchista, miarkujący swój fanatyzm rozsądkiem i rzeczywistemi zdolnościami, jeden z najpoważniejszych w obozie. Mówił długo i nie zawsze zajmująco. Postawił nawet sprawę powściągliwie: taranem bić potrzeba w rząd, ale w tym rządzie nie żywioły umiarkowane wydają hasło czynów, jeno rozszalałe, socyalistyczne. Polityka rządu jest polityką p. Milleranda, ministra handlu. Socyaliści mają bramy twierdzy otwarte: oni teraz będą panami Francyi.

Inny monarchista, Grandemaison, nie może przebaczyć rządowi jego zamachów na kościół, na swobody indywidualne, na sprawiedliwość samą, przez samowolne wyznaczanie jej organów. — Na to młody, jeszcze ząbkowanie rozumu przebywający, socyalista Zevaes odpowiada gromami, które mógł był bezpiecznie schować w komorze — nie należały one bowiem ściśle do przedmiotu, a osłabić tylko mogły większość rządową. Chce on nietylko zniesienia wojsk regularnych, ale nawet zmonopolizowania nauki, aby była tylko jedna dobra, zamiast stu złych: karygodny despotyzm żądzy, pragnącej zmienić społeczeństwo w koszary.

Przyszła znowu kolej na monarchistę nacyonalistycznego, piersią roztrącającego rzeczpospolitą, prawicą bijącego Żydów, lewicą kułakującego postęp: na słynnego Lasies, który już w rocznikach bulanżyzmu nazwisko swe zapisał. Ten mąż stanu miotał się na trybunie jak opętaniec. Generałowie, royalistycznie usposobieni, krnąbrni i zuchwali wobec rzeczypospolitej, powydalani lub poprzenoszeni przez Gallifeta — znaleźli w tym opętańcu obrońcę, wygłaszającego np. takie zdania, że niekarność w armii jest chwalebną, jest obowiązkiem wobec rządu, któremu jednę tylko dać można nazwę: „rząd hańby.“

Dotknięty bezpośrednio Gallifet chwycił pałasz i zaczął ciąć. Wyjaśnił wypadki spowite w mgłę kłamstwa przez Lasies'ego. Przy gen. Negrier — prawica, mająca w nim swego kandydata, zawołała: „Niech żyje!“ Gallifet powiedział, za co żyć ma. Oto generał pułkownikowi podwładnemu rozkazał uspokoić oficerów, że jeśli rząd działać nie zechce — przeciwko Dreyfusistom — to rada wojenna — Negrier był jej członkiem i zarazem inspektorem armii—weźmie sprawę w swe ręce. „Negrier był generałem rewolucyjnym — zakończył minister zdanie swoje o nim.“ Każdy człowiek rozsądny spostrzegł, że żaden rząd takiemu generałowi władzy nad żołnierzem pozostawićby nie mógł. Zarzut porozumiewania się z książętami orleańskimi Gallifet odparł zaprzeczeniem. Wyciągnięcie tych posądzeń przed Izbę przez samego ministra wojny było czynem odwagi i jako żołnierza z dawnemi tradycyami tuileryjskiemi, a wrogiego radykalizmowi, zbliżyło go do republikanów, a umocniło w gabinecie.

Nie obeszło się bez p. Méline'a. Gaduła ten, stojąc między dwoma biegunami: reakcyi i rewolucyi, chce pozostać tam, gdzie jest. Socyaliści u władzy — to niebezpieczeństwo. Proces Déroulède'a i towarzyszy nie należy do senatu. Projekt prawa o stowarzyszeniach jest zły. Dymisya Negriera bezprawna. Kraj chce pokoju, a rząd daje mu wojnę.

Mowa Waldeck-Rousseau'a obracała się naokoło tej prawdy, że rząd dzisiejszy zastał wszędzie wzburzenie i spisek, dziś ustala we Francyi spokój, przywraca moc prawu, powagę rzeczypospolitej. Niebezpieczeństwem nie grożą dążenia postępowe; niebezpieczeństwem jest wstecznictwo, usiłujące rzeczpospolitą wywrócić. Rząd iść będzie dalej pod hasłem: wzmacniania republikańskiej formy rządu w życiu, w urządzeniach społeczno-państwowych, w całej praktyce politycznej. Z mowy wiał duch republikański — po raz pierwszy tak szczery, śmiały, nieliczący się z etykietą dobrego pożycia ze wszystkimi. Na wniosek Merle'a, poprawiony przez Waltera, Izba d. 16 b. m. „pochwali-

ła kroki przedsięwzięte przez rząd w obronie rzeczypospolitej - przewagą 125 głosów na 555 głosujących; gdy na początku rozpraw nadzieje ministrów nie sięgały nad setkę głosów. Dzienniki republikańskie są zadowolone z przebiegu i z uchwały ostatecznej: większość 340 jest hufcem, który stanie na szańcach, gdy przyjdzie nowa napaść. D. 19 b. m. na Placu Narodowym w Paryżu odsłoniono posąg rzeczypospolitej tryumfującej. Uchwała była wierną tej symbolice, a sam obchód pierwszy raz także był obchodem szczerze republikańskim.

Tydzień polityczny. Sąd senatu rozpoczął właściwe badanie. Oskarżeni i świadkowie wyprawiają sceny. Namiętność polityczna nie zna i nie uznaje sprawiedliwości, a spiskowi oddani pod sąd pławili się właśnie w polityce czynnej, żywej, burzącej. Déroulede pozwolił sobie nazwać Loubeta nieuczciwym; poprawką nie naprawił swej sprawy: sąd skazał go zaraz z miejsca na 3 miesiące więzienia. Od takich wyroków niema apelacyi. Wina spisku jest niewątpliwa. Gdyby d. 23 b. m. Roget nie był się ulękł, byłyby *pronunciamenta* i w Paryżu i na prowincyi.

Cesarz Wilhelm z małżonką zawinął d. 20 b. m. do Partsmouth. Przed wyjazdem w Kiel do rekrutów przemówił o wyspach Samoańskich i o innych rzeczach.

Ces. austryacki wzywa do siebie seryami wybitniejszych przedstawicieli stronnictw, żąda uchwalenia budżetu, zatwierdzenia kwoty wydatków wspólnych, urządzenia poboru podatków spożywczych. Zaczął od pp. Jaworskiego i Kathreina. Delegacye nie 23-go, ale 30-go b. m. mają termin zebrania się. D. 17 b. m. Izba deputowanych zniosła stempel dziennikarski.

Na widowni wojny Burowie chcą powitać wojska z Durbanu ogniem bojowym nad Tugelą, bliżej ujścia, na południe i wschód od Colenso. Anglików coraz więcej zwożą do Capetown i Durbanu. Odsiecz angielska dla Kimberleyu niedaleka. Utrudni ją zajęcie pogranicza przylądkowego przez Orańczyków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

* * *

Nowy minister. — Biurokratyzm i formalizm szkolny. — Oświata przymusowa — Nowy dziennik.

Nowy minister spraw wewnętrznych, Słoweczy Najwyższego Dworu, Dymitr Sipjagin, jest obecnie przedmiotem uwagi społeczeństwa i prasy. Sternik jednej z najważniejszych naw ministeryalnych, jego uzdolnienia, charakter, temperament, poglądy — to są warunki, które muszą wejść w ścisły związek z życiem społecznem. Nie więc dziwnego, że nowy działacz musi obchodzić ogół w najdrobniejszych szczegółach. Między innemi *Birż. Wied.* charakteryzują p. Sipjagina w sposób następujący: „Nowy minister znany jest jako administrator energiczny, który poznał zarząd wewnętrzny państwa drogą doświadczenia osobistego. Należy on do szeregu tych młodych działaczów państwowych, którzy prowadzą Rosyę do nowego życia. Przymioty jego, sprawiedliwość i lojalność — najpożądańsze na takiem stanowisku. Na zasadzie tych cech można wnosić, że ministeryum wkrótce da sobie radę ze sprawami wewnętrznego życia Rosyi."

Do spraw najpilniejszych, które nowy minister ma zostawić, należą, zdaniem powyższego pisma, następujące: ustawodawstwo włościańskie, nad którem pracuje od lat wielu komisya specyalna; przekształcenie sprawy żywnościowej w Cesarstwie, która wlecze swój żywot teoretyczny od lat kilkunastu; ustawodawstwo dotyczące Żydów; reforma gubernialna itd. Wogóle bardzo wiele spraw doniosłych, związanych z losami milionów ludności, oczekuje gruntownego rozwiązania i utrwalenia. Pozostawiono je w fazie tymczasowości, trwającej lata całe. Taka wszakże tymczasowość nietylko jest męcząca, lecz nie daje żadnej rękojmi co do trwania lub kształtowania się danych warunków. Podstawowa organizacya bytu społecznego musi być oparta na czemś trwałem, określonem, zapewniającem rozwój danej sfery życia w przyszłości. Tymczasowość jest w tej mierze fatalnym hamulcem. Otóż z charakterystyki nowego kierownika ministeryum spraw wewnętrznych można wnosić, że te doniosłe zjawiska i kwestye przy dzisiejszym sterniku przejdą na grunt trwalszy, bardziej określony i że wogóle w przyszłości metoda tymczasowości będzie jeżeli nie usunięta, to przynajmniej znacznie skrócona. Wogóle oczekiwane jest zmniejszenie dziedziny projektodawczej na korzyść czynów pracy konkretnej.

Nowy minister, zanim zajął wysokie stanowisko zarządzającego kancelaryą próśb podawanych na Imię Najwyższe, przeszedł liczne szczeble urzędów. Najpierw był wołokołamskim marszałkiem szlachty, następnie wice-gubernatorem charkowskim, gubernatorem kurlandzkim i moskiewskim, towarzyszem ministra dóbr państwa i wreszcie towarzyszem ministra spraw wewnętrznych. Jako naczelnik jednej z najbardziej kulturalnych gubernij nadbałtyckich, zjednał sobie szeroką popularność śród ludności miejscowej, gdyż był humanitarnym i sprawiedliwym administratorem. Nowy minister pochodzi z szlachty dziedzicznej w gub. Moskiewskiej. Urodzony 1853 r., skończył uniwersytet petersburski ze stopniem kandydata praw. Poczem obrawszy karyerę urzędniczą, miał możność przyjrzenia się zblizka życiu, dotykał różnych spraw bezpośrednio, jako sędzia pokoju, prezes zjazdu sędziów pokoju, jako kurator szpitala itd. Posiada tedy ogromne doświadczenie, zaczerpnięte z życia praktycznego.

Sylwetka nowego ministra zarysowywa się na szerokiem polu spraw, których jest kierownikiem. W ostatnich latach dokonano dużo reform i przekształceń, przeważnie w zakresie życia ekonomicznego i finansowego. *Birż. Wied.*, powołując się na tę pracę, wypowiadają poglądy, z których kilka uwag zasługuje na zaznaczenie: „Machina prawodawcza pracowała tylko jednem, chociaż najgłówniejszem kołem, które wyrobiło nowe formy dla współczesnych zjawisk życia państwowego tylko w jednym wskazanym szeregu. Wszyscy

HAŃBA.

Przy stoliku, na którym stoi lampa i kałamarz, od sześciu godzin siedzi zgarbiony człowiek i przepisuje. Wpił się obydwoma łokciami w arkusz papieru: to jego posłanie.

Tak samo siedział wczoraj, a dzisiaj nie położy się wcale spać. Nikt mu tego za złe nie weźmie: człowiek, który siedzi przy lampie o czwartej w nocy, zalicza się przeważnie do spokojnych obywateli kraju, którzy w nocy — śpią.

Zdarzyć się może, że przyjaciel zagadnie:

— Cóż to, panie Ignacy, świeciło się u was wczoraj całą noc, czy byliście niezdrowi?

Zdarza się, że ktoś weselszy klepnie Ignasia po ramieniu i powie:

— Ho, ho, lampka czekała na waćpana do czwartej, a pan dobrodziej sobie na mieście... tego... co? I to bez mnie, ładnie, ładnie!

Ignaś odpiera taką napaść uśmiechem i słowami:

— A cóż to, czy mnie już nie wolno?

Zupełnie, jak prawdziwy rozpustnik...

Od lat dziesięciu przepisuje powieści do druku.

Z początku zastanawiał się nad treścią oryginałów, ale źle na tem wychodził, gdyż w ten sposób mógł przepisać zaledwie parę arkuszy dziennie. Ponieważ jego potrzeby domowe wynoszą co najmniej dwa ruble dziennie, przestał więc czytać rękopisy, kładzie przyniesione do domu arkusze przed sobą, przebiega dla nabrania rozpędu pierwszą stronicę, poczem oddaje się na łaskę wzroku, patrzy to przed siebie, to na ostrze stalówki, to znów przed siebie... aż mu łzy w oczach stają.

Taki pan Ignacy, kupując pudełko stalówek, wie doskonale, na jak długo mu one wystarczą, nie przetrząsa ich z dziecinnem zadowoleniem, nie zastanawia się nad ich wielką ilością. Owszem, jemu stalówki są potrzebne, bardzo potrzebne, jak również atrament i papier. Obsadkę ma po swoim dziadku, który był podobno naczelnikiem jakiegoś biura.

Pan Ignacy ma żonę i córkę — panią Anielę i pannę Maniutę.

Żona szyje na maszynie, a córka leży chora w przyległym pokoju. Powróciła do Warszawy po miesięcznej nieobecności i od tygodnia jest niewidzialną.

Ojciec nie wie, co jej dolega, gdyż od pewnego czasu na zapytanie:

— Co jest dziewczynie? — otrzymuje odpowiedź:

— Pisz, pisz, głowa ją boli. To nie twoja rzecz, pisz, bo apteka kosztuje więcej, niż obiady.

— Doktór był? — pyta zwykle pan Ignacy.

— Był. — Nie turbuj się! Jak Maniuta zdrowa, to się o nią nawet nie zapyta, dopiero teraz troskliwość go wzięła: nigdy nie pomyśli o sukni, albo salopce, czy dziewczyna ma, a o lekarstwo to... Tu przerywała pani Aniela, gdyż czuła, że się jej wyrzuty nie kleją, a piszący mruczał:

— Dobrze, dobrze, niech i tak będzie... A czy ma gorączkę?

— Ma, ma — dwieście stopni!

— Dobrze, dobrze—mruczy Ignaś, przebiegając okiem twory ludzkiego geniuszu, kopiując subtelne odcienie cnót i ideałów. Ustępy migają mu przed oczami... pisze:

„— Hrabio, nudzę się: wyjedźmy stąd.

Hrabia drgnął. To, czego się obawiał od lat dziesięciu, co było zmorą niepozwalającą mu się żenić, to widmo znudzonej kobiety, która zdolną jest do wszystkiego... Hrabia czuł, że od ołtarza odprowadził takie widmo do swego domu, że je wyhodował, że ono mu teraz hańbę zgotuje. O, bo ze słów hrabiny: nudzę się — wypełzają setki wężów zepsucia i podejścia... Co czynić? Należy od jednego razu, od pierwszego momentu, jeżeli już nie minął, zająć należyte stanowisko..."

— Dobrze, dobrze — szepcze z uśmiechem pan Ignacy, ocierając stalówkę o szpakowate włosy.

Nie patrząc, co dalej nastąpi, położył pióro. Wpadło mu do ucha w całej pełni terkotanie maszyny. Przyzwyczaił się już do niej, tylko wydaje mu się głośniejszą, ilekroć przerywa pisanie. Spojrzał na żonę, a potem na drzwi od pokoju, w którym leży córka, i znowu na żonę. Wstał i zbliża się do tych drzwi, lecz maszyna umilkła, a pani Aniela szybko zabiegła mu dro-

jeszcze mają w pamięci gorączkową reformatorską działalność ministra skarbu, która się zaczęła po objęciu steru przez p. Wittego i następnie mnóstwo zasadniczych reform, jako wynik tej działalności. Ale jednostronne uzdrawianie organizmu państwowego nie mogło mieć należytego powodzenia, gdy jednocześnie w innych dziedzinach panował przestarzały ustrój z wszelkimi brakami i ogniskami chorobliwemi. Ministeryum skarbu przyszło wkrótce do przekonania, że ono samo w wyznaczonej sobie przez prawo dziedzinie nie może pchnąć Rosyi na drogę normalnego rozwoju gospodarczego, jeżeli jego działalności reformatorskiej nie poprą reformy w innych sferach życia."

Takiej działalności społeczeństwo obecnie oczekuje od nowego ministra.

Takie czyny i taka praca pożądane są również w zakresie szkolnictwa. Każda jednak reforma musi być poprzedzona wszechstronnem wyświetleniem sprawy. Obecnie wyświetlanie to widzimy w szkolnictwie. Między innemi do najbardziej znamiennych zapatrywań należy żądanie, ażeby szkoła była uzupełnieniem rodziny, raczej otoczenia rodzinnego. Poglądy w tym duchu wypowiedział niedawno p. Fingał w gazecie petersburskiej *Rosya*: „Przypuśćmy, że uczeń, dzięki gorliwej kontroli ze strony władzy szkolnej, został złapany na jakiemś ważniejszem przestępstwie, np. pił w knajpie piwo, a nawet upił się. Pytam każdego człowieka, nieprzejętego zasadami pseudopedagogicznemi, co należałoby uczynić z uczniem, który się dopuścił takiego wykroczenia? Odpowiedź na to prosta. — Trzeba pomówić z nim otwarcie i szczerze, zająć się nim i jego duszą młodzieńczą, zbadać, co było przyczyną upicia się, słowem — usiłować wszelkimi sposobami wpłynąć na niego moralnie. Ale jakiż wyrok wyda pedagog, działający na mocy ustaw? „Natychmiast postara się zwołać radę pedagogiczną i wydalić ucznia bez prawa wstąpienia do innego zakładu naukowego!" Dopiero gdy szkoła przestanie być koszarami lub niekiedy nawet więzieniem, gdy z murów swoich usunie formalizm i suchy pedantyzm, wtedy będzie można obdarzyć ją jakimkolwiek programem. Dopiero wtedy przekonamy się, że ona będzie kształciła młodych obywateli, przygotowanych do pracy w najrozmaitszych dziedzinach życia społecznego, nie zaś, jak obecnie, anemicznych i zgorzkniałych pesymistów, zdolnych jedynie do pracy biurokratycznej."

Uwagi te są bardzo słuszne, reforma zaś, w takim duchu przeprowadzona, miałaby niesłychanie doniosłe znaczenie w dziedzinie kształcenia pożytecznych jednostek dla społeczeństwa. Ileż potrzeba warunków, ażeby dojść w rzeczywistości do powyższych wniosków! Przedewszystkiem usunąć formalistykę szkolną i charakter biurokratyczny— to znaczy nietylko zmienić niektóre paragrafy zwyczajowe i prawne ustaw szkolnych, ale wytworzyć rzesze padagogów w całem znaczeniu. Dobry zaś pedagog, to nietylko taki człowiek, który zdobył pewną sumę wiedzy, zaopatrzył się w przepisy szkolne, powagę i surowość wobec uczniów, lecz — człowiek z pewnym talentem, rozumiejący swoje szczytne a ciężkie posłannictwo. Takich zaś ludzi utalentowanych w tym zakresie i przejętych apostolstwem pedagogicznem, nie można wytworzyć tylko za pomocą dyplomów. Dać ich może jedynie życie społeczne, inaczej ukształtowane. Zanim to jednak nastąpi, takie piękne marzenia i pragnienia, jak p. Fingała, jeszcze przez czas długi pozostaną tylko marzeniami.

Od lat wielu marzeniem pewnej garstki inteligencyi jest także stworzenie w obrębie państwa rosyjskiego oświaty obowiązkowej. Pisano o tem i mówiono niejednokrotnie już bardzo dużo. Obecnie zaś w petersburskiem Towarzystwie prawniczem prywat-docent, p. W. M. Hessen, odczytał bardzo ciekawy referat w tej sprawie. Zaznacza on, iż państwo może współdziałać skutecznie w kształceniu mas ludności dwojaką drogą: za pomocą ofiar pieniężnych, jako bogaty filantrop, lub drogą przymusu, jako władza poważna. Pierwszy sposób istniał w Anglii do r. 1870 i polegał wyłącznie na udzielaniu zapomóg. Ale system ten okazał się niepraktycznym. Środki były rozdzielane bardzo nierównomiernie.

Okręgi zamożne i małoludne otrzymywały ogromne sumy, gdy przeciwnie: ubogie i bardzo zaludnione korzystały ze skromnych środków. Po roku 1870 Anglia porzuciła ten system, natomiast stworzyła departament centralny w celach kształcenia ludności, wprowadziła przymusową naukę dzieci w wieku od 5 do 14 lat. Środki przymusowo mogą być dwojakie: przymus pośredni i bezpośredni. Do pierwszej kategoryi należą: ulgi co do powinności wojskowej, prawodawstwo fabryczne (prócz tego na Zachodzie — prawa polityczne). Środki te wszakże, zdaniem prelegenta, nie są należycie skuteczne. Do najlepszych zaliczono przymusową oświatę elementarną. To też zastosowano ją z ogromnem powodzeniem, w całym świecie cywilizowanym (we Francyi od r. 1882, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej już od r. 1856). Dotąd nie posiadają jej tylko: Turcya, Holandya i Rosya. W tej ostatniej obowiązkową oświatę mają tylko dwie gubernie: Liflandzka i Estlandzka, w których za opuszczone dni szkolne wprowadzono karę od 1 do 10 kop. Prawie we wszystkich państwach przymus dotyczy oświaty elementarnej. Nad regularnem uczęszczaniem do szkól czuwają organy administracyi miejscowej. Prawie wszędzie nauka taka obowiązuje od 6 do 13, 14 lat, w Szwajcaryi od 10 do 16. W niektórych państwach termin ten bywa skracany w miarę postępów ucznia. Za uchylenie się od oświaty obowiązkowej na rodziców nakładana jest kara: wymówki, grzywny i areszty. W Norwegii zaś dzieci w takich wypadkach mogą być odbierane rodzicom i oddawane pod opiekę innych rodzin.

Niema tak zasobnego państwa, któreby całkowicie przyjęło na siebie ciężar oświaty; główne obowiązki w tej mierze spadają na społeczeństwo. Oczywiście obowiązkowa oświata nie może być płatną. Całkowita bezpłatność istnieje prawie wszędzie. W Prusiech pobierano pewną opłatę dość długo, ale od r. 1889 zniesiono ją zupełnie. W Anglii szkoła początkowa jest prawie bezpłatna, w Szwajcaryi zastosowano nadzwyczaj skromną opłatę: 26 kop. rocznie.

Prelegent zaznacza dość silnie, iż w Rosyi opłata za naukę jest poważną przeszkodą w rozwoju oświaty. Kwestya szkolna w znaczeniu oświaty mas wyraźniej się zarysowała dopiero po uwłaszczeniu włościan tudzież stworzeniu samorządów ziemskiego i miejskiego. W r. 1860 wiele

---

gę, tak samo, jak wczoraj, onegdaj — od tygodnia.

— Nie wchodź tam: Maniuta śpi.

— Nie widziałem jej z tydzień...

— Cóż to serce cię o nią boli? Wytrzymasz. Nie można, bo śpi.

— Ja tylko zajrzę.

— Nie pozwolę; doktór zabronił.

— Wejdź ty pierwsza, a ja za tobą — zdejmę buty.

Zgiął się i zrzucił kamasze, stękając przy każdym i obserwując żonę z pod oka.

— Waryat — szepnęła.

— No, chodźmy.

— Zaczekaj, to ja wejdę pierwsza; zobaczę, czy śpi. Zawołam cię, tylko mi nie właź sam.

— Dobrze, prędzej.

— Nie spiesz się tak, bo może jeszcze nic z tego nie będzie. Chory — nie arkusz papieru: nie można mu się ciągle przyglądać; jeszcze nie wiem, czy będziesz mógł wojść.

Pan Ignacy zrozumiał, że trzeba więcej milczeć, mało słuchać, jak najmniej mówić.

Pani Aniela ostrożnie otworzyła drzwi.

— Kto tam? — rozległ się dźwięczny głos kobiecy.

Pan Ignacy posunął się za żoną uradowany, lecz małżonka syknęła przeciągle i rzekła, krzywiąc się po domowemu:

— Zwaryowałeś? To przez sen: zawsze się tak pyta, ile razy ktokolwiek wchodzi do pokoju.

— Słyszałem: kto to? — najwyraźniej.

— I ja słyszałam — syknęła żona, zdobywając się na jeden z ruchów ostatnich w epoce lodowej, nieznanych zupełnie w świecie klasycznym.

Ojciec Maniuty został przed zamkniętemi drzwiami. Obejrzał się na swój stolik... czeka. Z po za drzwi dochodzą jakieś szepty i jak gdyby układanie poduszek, szybko rzucanych jedna na drugą. Przy pierwszem uchyleniu drzwi w pokoju było widno.

— Co się tam dzieje?

Drzwi skrzypnęły ponownie.

— No, tylko pocichu.

— Dobrze, dobrze.

Wsunęli się oboje do ciemnego pokoju.

— Czemu lampę zgasiłaś?— szepcze pan Ignacy.

— Co miałam gasić; paliła się nocna lampka i teraz się pali.

Pan Ignacy okrążył za żoną rozmaite sprzęty, a mijając stolik, na próbę dotknął szkła od lampy — i aż syknął z bólu. Paliła się przed chwilą... pocóż ją zgaszono?.. Przy słabem świetle ujrzał leżącą postać i poznał głowę córki, która miała przymknięte oczy. Była otulona w kołdrę, na której leżały jeszcze dwie poduszki, widocznie dla ciepła.

— Na co to poduszki, przecież tu ciepło.

— Na to, żeby było jeszcze cieplej. Wreszcie spytaj się doktora... No, wychodź stąd!

— Czekajno, zaraz.

Pan Ignacy wyprostował się i wciągał w siebie atmosferę tego pokoju. Coś go w niej uderzyło; na razie zajęty był kwestyą raptownie zgaszonej lampy, więc nie zwrócił uwagi na powietrze. Teraz oddycha i oddycha — coraz głębiej. Przypomina sobie, że już kiedyś był w pokoju z taką atmosferą, że po ślubie...

— Co jej jest? — wyrwało mu się głośno.

— Cicho, ty! Nie mówił ci doktór onegdaj? Ból głowy, gorączka i koniec.

— Po cóż w gorączce okładać kołdrami i poduszkami?

— Wynoś się, słyszysz?

Pan Ignacy nie zważa na to i stoi bez ruchu, tylko wzrokiem ogarnia cały pokoik, najdłużej wpatrując się w twarz córki, która ma ciągle oczy zamknięte.

— Ja się muszę dowiedzieć — wycedził.

— To chyba od pana Boga, bo doktór powiedział ci wszystko onegdaj, gdyś się go pytał o Maniutę.

— Wiem, już wiem, że się go pytałem i że mi odpowiedział, bom się go pytał wiem, wiem... A to co jest? — spytał, wąchając flaszkę, którą raptem ujął do ręki.

— To? Nie wiem. Chodźmy stąd; jakieś lekarstwo, pokaż.

On zna to lekarstwo z pierwszych miesięcy po swoim ślubie. Stało tak samo na stoliku w pokoju, w którym żona jego leżała w łóżku.

— Co to za lekarstwo? — zawołał i powstrzymał się, ażeby córki nie obudzić, lecz śpiąca nie otworzyła oczu.

Pan Ignacy wybiegł do swego pokoju i postawił butelkę na czymś rękopisie.

ziemstw czyniło usilne zabiegi o wprowadzenie w Rosyi oświaty obowiązkowej i „chociaż ministeryum pozostawiło te zabiegi bez skutku, to jednakże przyjęło je życzliwie.“ W r. 1861 opracowano projekt pośredniego przymusu szkolnego. W r. 1877 zebrano opinię dyrektorów szkół co do oświaty przymusowej. Prawie wszyscy zgodzili się na stopniowe wprowadzanie przymusu szkolnego. Ale około r. 1880 sprawa ta prawie zupełnie znika z uwagi sfer i kół właściwych. A jednak—mówi p. Hessen—przymus jest niezbędnym warunkiem jej uspołecznienia. Braki w tej mierze są aż nadto widoczne: Stosunek oświaty do ogółu ludności tak się przedstawia: W Rosyi europejskiej 3%, w Niemczech 18%. Stosunek ten jeszcze jaskrawiej się zaznacza śród rekrutów: w Rosyi jest 69,9% analfabetów śród popisowych, gdy w Saksonii %=0!

Prelegent jest również zwolennikiem stopniowania, ze względu, że na tak olbrzymich i różnorodnych obszarach państwa w żaden sposób nie dałaby się odrazu wprowadzić powszechna oświata przymusowa.

Od 13 listopada zaczął wychodzić w Petersburgu nowy dziennik pod redakcyą ks. Barjatyńskiego (synowca zdobywcy Kaukazu) p. t. *Siewiernyj Kurier*. Oto jego program, wypowiedziany w odezwie do czytelników: „Wstępując dziś za pomocą naszego młodego pisma w bezpośredni stosunek duchowy z całem społeczeństwem rosyjskiem, zapowiadamy bezstronne i uczciwe zapatrywania się na zadania prasy i ze spokojnem sumieniem pozostaniemy zawsze wiernymi temu kierunkowi.“ Hasła: „Bezstronność“ i „Niezależność“ są świętemi, ale jakże trudne jest utrzymanie ich na właściwej wysokości, zdala od kurzu i mgieł wszelakich!

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 listopada.

Ruch kobiecy.

W[illegible], podobnie jak w baśni ludowej, wiodą w przyszłość dwie drogi: jedna — to szeroki i wydeptany gościniec: druga — kręta, wązka i stroma ścieżka, która wije się zygzakami, przecina góry i przepaście. Tą oto drogą kroczy każda idea, a między innemi ruch kobiecy. Pomimo swych znacznych postępów, pomimo iż ogarnia dziś w Niemczech tysiące i dziesiątki tysięcy umysłów i przenika w formie, co prawda, przefiltrowanej, dezinfekowanej i rozcieńczonej do sfer filisterskich, pomimo swego pogłębienia i rozszerzenia wykazuje on często objawy niezdecydowania i wahania się. Słyszymy wciąż o rozwianych złudzeniach, naradzających się wątpliwościach i wznawianych rewizyach podstaw ideowych, jesteśmy świadkami burzenia i przebudowywania teoretycznych założeń. Rozpaczliwa walka z nastręczającemi się zagadnieniami najjaskrawiej przedstawia się w kwestyi miłości, małżeństwa i zawodu. Jak powinna kobieta myśląca i samodzielna uregulować swój stosunek do mężczyzny ukochanego i męża? Czy ma prawo, stawiając zawód i wolność po nad wszystko zadać gwałt sercu i stworzyć okaz „płci nijakiej,“ wyśmiany przez Wolzogena i skreślony tragicznie przez utalentowaną Klarę Fiebig? Na jakich podstawach należy oprzeć małżeństwo: republikańskich w duchu Milla, czy konstytucyjno-monarchicznych? Jak wreszcie pogodzić pracę zawodową i dążenia do wolności z obowiązkami rodzinnymi? Wszystko to są węzły gordyjskie, których rozwikłanie nagli a rozcinanie prowadzi nieraz do katastrof i tragedyj. Jeszcze przed rokiem najpostępowsze tutejsze stowarzyszenie kobiece wyparło się zasady wolnej miłości, jako przedwczesnej mrzonki, do której nie dorośli współcześni mężczyzni, a dziś znowu światła i zapalona Ellen Key w swych uroczych „Szkicach,“ które narobiły wielkiej wrzawy, ogłasza ze zdwojoną energią bezwzględność praw porywów sercowych. Praktyka tymczasem rozwiązuje wszystko po swojemu — oczywiście w sposób brutalny i okrutny, w myśl prawa o doborze społecznym. Od dwu lat czwarta już z rzędu słynna kobieta pada w środku drogi, niezdolna przystosować się do życia, niezdolna pogodzić swych wzlotów napowietrznych ze smutkiem życia miłosnego i rodzinnego.

Dwa lata temu przed kratkami sądowemi stawała szlachetna Marya Gerdes, oskarżona o targnięcie się na życie ukochanego człowieka. Przybyła do Berlina jako młoda, rozentuzyazmowana nauczycielka, rwąca się do życia. Subtelną szopenistkę i wytworną znawczynię literatury skandynawskiej uznali młodzi za jedną ze swych „Egoryj.“ Krzątając się w kołach marzycieli, zapoznała się z pewnym młodym studentem. Od rozmów na temat przyszłości i rojeń o ideałach wszechludzkich doszło do miłości. Cudną pieśń przerwał rozdźwięk w postaci nieprzewidzianego wypadku — dziecka. Młodzian czmychnął, pozostawiając Gerdes na bruku stolicy. Szlachetna Marya z rezygnacyą niosła swój krzyż, a gdy rany jej serca zabliźniły się, pokochała po raz drugi. Wybranie jej serca postąpił brutalniej od swego poprzednika. Po krótkim czasie upojen zawiązał pod okiem Gerdes stosunek miłosny, a za wyłudzane od niej pieniądze kupował prezenta nowej damie serca. Gerdes dotknięta głęboko w swych uczuciach wystrzeliła do nikczemnika Sąd uniewinnił winowajczynię, która opuściła ławę oskarżonych złamana na duchu i ciele.

Nr. 2. Po miesiące gruchnęła wiadomość o samobójstwie pani Kempin, pierwszego europejskiego prawnika kobiety, a zarazem docenta. Przez kilka lat pełniła ona w Ameryce obowiązki obrońcy. Wyszedłszy nieszczęśliwie za mąż, musiała własną pracą utrzymywać rodzinę. Przesiedliła się do Berlina, gdzie otworzyła doradcze biuro prawne w sprawach amerykańskich, przyjmując jednocześnie gorliwy udział w ruchu niewieścim. Zwłaszcza rozwinęła silną agitacyę wśród kobiet z powodu obrad sejmu rzeszy nad kodeksem cywilnym. Pomimo iż była doskonałym prawnikiem, nie mogła jako kobieta pozyskać sobie zaufania świata handlowego. Kupca, zwłaszcza niemieckiego, odstraszał doradca prawny w spódnicy. Niepowodzenie i nie-

---

Żona podążyła za nim, zamknęła drzwi za sobą i siadła przy maszynie. Po chwili jednak podniosła się i podeszła do stolika męża.

— E! to moje lekarstwo, zostało jeszcze trochę od czasu mojej ostatniej migreny.

— Zostało jeszcze trochę? — powtarza machinalnie pan Ignacy. —Zostało? To już dla Maniuty nie wystarczy?

— Jakto dla Maniuty? Przecież to nie dla niej.

— A dla kogo? — zapytał, nakładając kamasze.

— Dla mnie, ale już niepotrzebne.

— Już nie potrzebne? A dla Maniuty?

— Nie nudź mnie... Czego ty chcesz, czemu tak patrzysz na mnie?

Pana Ignacego przeszły jakieś robaczki po całem ciele: szczypiące i łaskoczące zarazem... wykrzywiły mu twarz do śmiechu. Ręce włożył do kieszeni i patrzy na żonę... Tysiące drobnych faktów mignęły mu przed oczami: mało co nie zapomniał o kilku wizytach tego bruneta, co przyjeżdżał powozem, niby po fanty na tombolę, co przysłał piękne pudło cukierków, niby wygraną... to nie była tombola... dopiero teraz będzie na świecie więcej o jeden fant — tylko patrzeć: za tydzień, za trzy dni, za godzinę... ej, coś tam kwili w pokoju... Wzdrygnął się... Maniuta leczy się na to samo, co i matka, a nie ma jeszcze męża... Wprawdzie lekarstwo może i do czego innego służyć... Przyskoczył do żony:

— Słuchaj! — zawył łamiącym się głosem — dlaczego obłożyłaś ją naprędce poduszkami, dlaczego lampę zgasiłaś w jej pokoju?.. Zawsze to robisz od pewnego czasu.. Dlaczego nikt u nas nie bywa, a ze mnie żarty sobie stroją, lub patrzą, jak na wisielca? Ty, ty, oszuście! Co ja teraz zrobię?

— Najprzód milcz! rozumiesz? Co będziesz robił? Będziesz przepisywał, jak dotąd..

— Nie będę!

— Nie drzyj się, nie przepisuj: rób, co ci się podoba.

Panu Ignacemu przypomniały się kopiowane sceny: morderstwa, zamachy, intrygi, wybuchy zazdrości.. Oszukanych ojców przepisuje po parę razy na miesiąc. Chce sobie przypomnieć, co oni robili wobec takich podejrzeń — nic nie pamięta... Powstał mu w głowie jakiś jęk, którego nigdzie nie spotkał... Bierze go ochota pobiedz do pokoju Maniuty, zerwać z niej kołdrę, przekonać się, czy to prawda... Jeżeli zedrze kołdrę, to będzie napewno prawda... czuje jakiś lęk przed tamtym pokojem.

— Won tam! — ryknął na żonę, wskazując jej pokój zamknięty — pilnuj jej!

— To ty idź won! Nic masz za co poniewierać mnie niesłusznie, i nie drzyj się, niedołęgo.

— Ona się nie obudzi, nie bój się — ona nie śpi, pójdź, powiedz jej, że jest, że jest...

Nagle urwał: w pokoju córki rozległ się wrzask nieludzki, drzwi odskoczyły raptownie, i stanęła w nich Maniuta, jak gdyby w tył wygięta, w koszuli z włosami rozrzuconymi na ramionach i piersiach.

— Proszę szyć! — zawołała na matkę, a do ojca tonem rozkazu rzekła zwolna:

— Niech tatko siada do stolika i pisze, bo się zabiję. Natychmiast proszę pisać — no! — zaczęła tupać nogami i łkać gorączkowo...

Pan Ignacy usiadł posłuszny, wziął pióro do ręki i próbował umaczać go w kałamarzu, patrząc na córkę.

Pani Aniela puściła w ruch maszynę.

— Pisz, ojcze! — krzyknęła jeszcze raz Maniuta.

Zaczął pisać...

Maniuta wysoka, z opadłemi piersiami, wystającemi zbyt nizko pod koszulą, stała wyprostowana w nienaturalnej, a raczej, jak niektórzy twierdzą, w obdarzonej przez naturę pozycyi...

„— Hrabino — rzekł poważnie mężczyzna — z wielu względów byłem zawsze milczącym w naszem pożyciu, dziś jednak postanowiłem zadać pani jedno ostateczne zapytanie.

— Jakież to? spytała niedbale piękna blondyna, rozkapryszonym ruchem skubiąc chwasty na pięknej kozetce.

— Czy masz zamiar, hrabino, wychowywać to nasze dziecko?...

(D. n.).

Tadeusz Ulanowski.

ustanne troski o utrzymanie rodziny zmęczyły bojowniczkę do ostatka, tak iż wyczerpana postanowiła zakończyć z własnej woli wędrówkę życiową.

Przed kilkoma miesiącami znana literatka tutejsza, zamieszana podobno w procesie Dreyfusa, dowiedziawszy się o zdradzie narzeczonego, wyskoczyła z okna trzeciego piętra, a przed tygodniem odebrała sobie życie w ten sam sposób Franciszka Kapff-Essenther, sędziwa szermierka ruchu kobiecego. W r. 1873 pierwsza jej powieść p. t. „Honor niewieści“ obudziła powszechny zapał i rozeszła się szybko w dwu wydaniach. Autorka w utworze tym wywiesiła ostentacyjnie i odważnie sztandar równouprawnienia kobiecego. Jej dwie następne powieści noszą charakter psychologiczny. Z pewną przymieszką rozczarowania opisuje ona doświadczenia z życia małżeńskiego. Zachęcona powodzeniem obrała literaturę jako zawód, a w jarzmie tego zajęcia następuje stopniowy uwiąd jej talentu, zdrowia i energii. Kobiety, jak wiadomo, zalały literaturę niemiecką, a co gorsza — rozwodniły ją. Czernią bowiem papier nie te tylko, co mają coś do powiedzenia światu, a w piersi czują iskrę talentu, ale pisze każda przeciętna Niemka, o ile ma czas wolny. Otto Leixner, redaktor jednego z najbardziej poczytnych pism niemieckich, opowiada, że odbiera rocznie do dziesięciu tysięcy rękopisów powieściowych kobiecych. Młode dziewoje piszą rozrzewniające romanse, wydając Numę za Pompiliusza. Stare panny wymyślają na obydny ród męzki, a zamężne matrony rozwodzą się nad rozkoszami i bólami życia rodzinnego. Każda z tych autorek marzy o zaszczycie debiutu literackiego, chociażby w najpodrzędniejszem piśmie, a dla wawrzynów kwituje z honoraryum. Leixner opowiada nam, jakich dwuznacznych środków imają się autorki, chcąc pozyskać i zmiękczyć serce redaktora. W tutejszych sferach literackich wymieniają nazwiska hurtownych fabrykantek tego rodzaju wypracowań, które korektę ortograficzną, gramatyczną i stylistyczną powierzają tak zwanym stenografkom. Na prowincyi mnóstwo tygodników utrzymuje się z bezpłatnych romansów ambitnych pań. Z takiemi współzawodniczkami musiała konkurować pani Kapff-Essenther. Ażeby żyć i zarabiać, trzeba było tworzyć z gorączkowym pośpiechem, pisać podług szablonu, dogadzać poziomym i bezmyślnym poglądom handlarzy literackich, trzeba było zniepraviać się i marnować. Praca sterała jej zdrowie i nabawiła choroby sercowej. Rozpoczęła się ciężka walka, w której wcześniej czy później głośna powieściopisarka musiałaby uledz. Katastrofa, która spotkała męża, zwaliła ją z nóg. Pani Kapff-Essenther, wyskoczywszy z trzeciego piętra, zabiła się na miejscu.

M. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jeden żołnierz został zabity.

Nie ma drugiej muzy, która byłaby równie grubą, nieokrzesaną a pretensyonalna, jak statystyka. Jest to w gronie muz prawdziwa chamka, która wie najmniej a mniema, że wie najwięcej. Zabiera ona głos we wszystkich sprawach społecznych i wszystkie rozstrzyga w ostatecznej instancyi, a żadnej nie zna dokładnie. Jak żongler kule, podrzuca ona i łapie cyfry, chociaż co najmniej połowa ich składa się z baniek mydlanych. W roku A na przestrzeni B było 3,376 ulów — niezawodnie; w rzeczywistości zaś mogło ich być 13,800. A jej zestawienia i wnioski! Nieraz pyszne strzały dla dziecinnych łuków! Od roku A do roku B urodziło się 2,400 cieląt i w tymże okresie czasu było 120 gradobić: od roku C do roku D urodziło się 1,200 cieląt i było 60 gradobić — najprostszy wniosek, że spadanie gradu zależy od cieląt. Miejmy nadzieję, że gdy ta prostaczka wykształci się, nabierze wiarogodności a straci zarozumiałość, będzie bardzo pożyteczną służącą innych nauk. I teraz można się nią posługiwać, ale bardzo ostrożnie.

...Cyfra, jako wyraz dziejów, jest znakiem tak niemym, że musi wzrosnąć do olbrzymich rozmiarów, ażeby mogła do nas przemówić. Jeżeli gazety doniosą, że pewnego dnia w Paryżu spełnione zostało 1 samobójstwo, czy ta jedynka, albo nawet piątka, kogokolwiek zaciekawi, wzruszy? Bynajmniej. Ale gdyby ogłoszono, że pewnego dnia znalazło się w Paryżu 3,000 samobójców, wtedy dopiero bylibyśmy zadziwieni, a może nawet rozczuleni. 3,000 ludzi nieszczęśliwych — to coś znaczy, to godne westchnienia. Pamiętacie swoje uczucia przy czytaniu wiadomości z pola bitew: zginęło 3 żołnierzy. Aż śmiech bierze! Cóż to za marna bitwa! Warto ją było staczać i obwieszczać publicznie! Niejeden filister, siedzący po obiedzie w wygodnym fotelu z gazetą w ręku, aż pluje przy takich doniesieniach i woła do żony: „Słyszałaś, Zosiu, znowu padło 3 żołnierzy. Trzeba im do nabijania armat posłać tych twardych pierogów, których wczoraj nie mogliśmy jeść, byłby lepszy skutek.“ Gdy wszakże poczciwiec doczeka się takiej nowiny, że w jakiemś starciu poległo 5,000 żołnierzy, wówczas przyznaje: „No, to rozumiem, to był porządny szlachtuzik.“ Na nieszczęście — takie porządne szlachtuziki zdarzają się rzadko, a w obecnej wojnie anglo-burskiej ani razu. To też ona piekielnie nudzi zwolenników bojowego mięsa. Czy tam kiedyś dobry los sprawi im przyjemność telegramem o tęgiej rzezi — nie wiem, dotąd wszakże poprzestawać oni muszą na maleńkich cyfrach: 5, 4, 3 lub 1. Ach, ten jeden zabity! Jeśli to nie kłamstwo, jeśli rzeczywiście tylko jeden padł w bitwie, szkoda było poprostu prochu, nabojów i papieru dziennikarskiego.

Gdyby nam wszakże zbywało czasu, niezajętego lepszemi wiadomościami, sprobujmy odgadnąć, kto to mógł być ów jeden poległy? Niewątpliwie był to człowiek młody, bo starych do wojska nie biorą. Dalej był to może biedak, który nie mając z czego żyć, wynajął się jako ochotnik. Wyjeżdżając z Londynu, myślał sobie: w każdym razie ciężką niedolę zamienię na znośną dolę. Walka na polu bitwy jest mniej niebezpieczną, niż w życiu. Kula trafia lub nie, a nędza trafia z pewnością, gdyż celniej strzela od Burów. Mam przeczucie, że nie zginę, a przez kilka miesięcy lub lat dadzą mi jedzenie i okrycie. Po skończonej wojnie zaczepię się gdzieś w Afryce, znajdę korzystny zarobek w forcie, kopalni lub faktoryi, a wtedy odkopię grób, w którym pochowałem wszystkie marzenia, wskrzeszę je, puszczę w przyszłość... Pojechał. Zaraz w pierwszem starciu bomba oberwała mu nogi. Konając bez ratunku, wodził błędnym wzrokiem wokoło i mówił do siebie: po co ja tu przywędrowałem? Po cierpienie? Mogłem przecie skoczyć z mostu do Tamizy lub powiesić się w Hyde-Parku i byłbym przeciął to mizerne życie bez bólu. Zląkłem się drogi prostszej i wybrałem dłuższą, która mnie odurzyła złudzeniami, ażebym jak niedobity pies zdychał tu w długiej męczarni, dopóki krew wolnym ściekiem nie wypłynie mi z żył. Niech będą przeklęci rodzice, którzy mnie na świat wyprowadzili.

Może tym jednym był ktoś inny. Życie do niego tylko uśmiechało się, a on wierzył, że swoje szczęście w znacznej mierze zawdzięcza ojczyźnie, która nad wszystkiemi swemi dziećmi roztoczyła opiekuńcze skrzydła, dała im wielki dobrobyt, wielką kulturę i wielką potęgę. Gdy znalazła się w potrzebie zażądania pomocy od swych synów, czyż każdy kochający ją szczerze nie powinien oddać jej swoich sił? Matka płacze, kochanka w rozpaczy łamie ręce, ojciec tłumi wzruszenie, ale on bez namysłu spieszy na wojnę i pada. Martwiejącemi ustami szepce pożegnanie drogim istotom, które okryje żałobą: gdybyście wiedzieli, jak mnie żal życia...

Tym jednym mógł być jeszcze inny. Ciężkim wysiłkiem wydobył się z ubóstwa na stanowisko dostatku. Dwa jasne promienie rozświeciły mu wreszcie długą ciemność życia: ma żonę i dziecko, które bezmiernie kocha. Ale nadeszła dla młodych mężczyzn pora spełnienia obowiązku patryotycznego. Więc zaciągnął się do szeregów i odjechał z głęboką wiarą, że wróci. Bo czyż mógł o tem wątpić, że gra losu nie będzie śmiała zwrócić się przeciwko niemu, dopóki obok niego stoją dwa anioły stróże? Był przekonany, że dwa uczucia, jak mocne liny, utrzymają statek jego życia w bezpiecznym porcie pomimo uderzeń burzy. Jakaś obłąkana kula przeszyła go podczas oblężenia. Przed śmiercią zdążył zaledwie wspomnieć o żonie i dziecku, do których posłał rozpaczliwe westchnienie. Przez krótką chwilę zmierzył całą okropność wojny, a ostatnie drgnienia jego serca były protestem przeciwko rozlewowi tej krwi, w której się nurzał.

Może tym jednym był jeszcze inny. Gdy okrzyknięto niebezpieczeństwo ojczyzny i powołano pod broń wszystkich zdolnych ją nosić, porzucił rodzinę, dom, gospodarstwo i poszedł odpierać najazd angielski. W prostem swojem istnieniu był szczęśliwym. Do jego światka, w którym uprawiał ziemię i hodował trzody, nie docierały wichry orkanów, przelatujących przez obszary cywilizacyi europejskiej, prawie nic nie wiedział ani o dobrodziejstwach, ani o klęskach postępu, jego zakątek afrykański był trochę mroczny, ale spokojny. Gdy usłyszał, że ma utracić niezależność i musi jej bronić, zapomniał o ciężarze wieku i wyruszył do boju. Padł w drugiem spotkaniu z nieprzyjacielem sam jeden. Żegnając towarzyszów gasnącym wzrokiem, cierpiał strasznie. Bo niełatwo rozstawał się z życiem, do którego był przywiązany, ale umierał bez pewności, że jego kraj nie stanie się łupem zdobywcy, że jego najdrożsi nie pójdą w niewolę. Dlaczego ja ginę — pytał pustyni, która mu nic nie odpowiadała — dlaczego to było nieuniknioną koniecznością, dlaczego rozwój świata stąpa po niewinnych istnieniach ludzkich i gniecie je skrwawionemi nogami?

A może tym jednym był jeszcze inny. Zaledwie wczoraj marzył z kochanką o bliskim związku, o promiennej przyszłości, o tych wszystkich radosnych niespodziankach, które czekały na nich w jej ukryciu, a dziś okaleczony śmiertelnie, stratowany końmi kona w osamotnieniu i nikomu nie ma nawet wypowiedzieć swej przedśmiertnej skargi. Dopóki żył, zdawało mu się, że zajmuje ogromny kawał przestrzeni: teraz widzi, że się skurczył na pobojowisku, że po nim zostanie tylko jedynka w cyfrze poległych i zasklepiająca się powoli rana w sercu ukochanej.

A może był to jeszcze inny. Młody Bur słyszał w swej duszy pieśni, które ziomkom wyśpiewywał, pieśni wszechmiłości i wszechbraterstwa ludzi. On pragnąłby posiąść taką czarodziejską moc słowa, któraby uspokoiła wszystkie waśnie, wygnała z piersi nienawiść i napełniła je uczuciami wzajemnej przyjaźni. Głosił, że dosyć już krwawej kąpieli wojen, dość dzikich gwałtów, trzeba nareszcie rozpocząć

ycie w pracy, spokoju i szacunku. Trąba bojowa kazała mu zamilknąć, zagłuszyć te rojenia i stanąć pod chorągwią. Mściwa kula ugodziła go w czułe serce. Padając, zawołał: człowieku nieszczęśliwy, zacny, mądry, głupi i podły!

A może był to jeszcze inny ten jeden. Ale kimkolwiek on był, jego myśli, uczucia i cierpienia były czemś nieskończenie większem, niż ta maleńka cyfra, która go on jego zaznaczyła. Właściwie nie ma tak wielkiej liczby, w którejby one zmieścić się mogły. Jeżeli więc chcemy sprawiedliwie ocenić skutki wojen i bitew, musimy do każdej jedynki dopisać tyle zer, ile ich nasza wyobraźnia objąć zdoła. Nie należy mówić, że zabity został jeden żołnierz, ale że zabity został jeden świat, jeden byt, że spełniła się ogromna ofiara krwawa, bezmierne męczeństwo. Ta krótka chwila, przez którą zraniony śmiertelnie żołnierz kona śród pobojowiska, a na jego piersi siadają drapieżne sępy, które mu rozdzierają serce, zanim ono bić przestanie, ta krótka chwila rodzi coś tak olbrzymiego, że najdrobniejsza cząstka nie da się wtłoczyć w wiadomość: „jeden żołnierz został zabity.“

Pamiętajcie o tem, czytając doniesienia z wojny anglo-burskiej, a wówczas zrozumiecie je lepiej i najmniejszy rezultat bitwy nie wyda wam się małym. I może zgodzicie się ze mną, że wtedy dopiero wejdzie do życia dobra dola, kiedy ludzie nie będą myśleć o szczęściu rodzin, rodów, narodów, społeczeństw, państw i ludzkości, lecz o szczęściu jednego człowieka.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Edward Bogusławski: *Historya Słowian*. Warszawa i Kraków, 1888—1899, tomów dwa.

Genezą społeczności i państwa polskiego zajmowano się u nas, w gronie uczonych starożytników, z gorliwością bardzo mało zrozumiałą i dostępną szerszemu ogółowi publiczności. W dobie rozkwitu naszego pozytywizmu padł nawet na tę kwestyę gruby cień niechęci i niepopularności. Poszukiwanie wszelkich początków „pierwszych“ nie cieszyło się nigdy współczuciem ludzi trzeźwiejszem okiem patrzących na świat i jego wiekuiste przemiany. Od czasów Bakona wiedziano, że przyczyna przyczyn ma swe źródło w źródłach zakrytych przed naszą świadomością — jest dziewicą poświęconą Bogu, przeto bezpłodną. Specyaliści nie zważali na te przestrogi i dokopywali się dalej do gruntu historycznego pod gruntem przedhistorycznym. Największe nasze powagi na polu badań dziejowych zabierały głos w tej materyi chybkiej, mglistej, nieuchwytnej, embryologicznej. Raz, od Naruszewicza do Bielowskiego, poprzestawano na kompilacyi świadectw pisanych, przeważnie greckich, rzymskich i średniowiecznych; drugi raz, od Chodakowskiego do Sokołowskiego, posługiwano się zabytkami i wykopaliskami rzeczowemi i terytoryalnemi; to znowu z Janem Potockim, Szajnochą, Wojciechowskim brała górę filologia i lingwistyka porównawcza lub też, z Lelowelem, Bobrzyńskim, Smolką, Piekosińskim, Małeckim, Laguną, Kętrzyńskim przeważały metody skombinowane, krytyczne. Odmiankę pewną tych dociekań tworzyła grupa erudytów, która od Maciejowskiego do Sieniawskiego, Pawińskiego i Wilhelma Bogusławskiego podsuwała pod zagadnienie zasadnicze o pochodzeniu narodu polskiego podłoże słowiańskie. Starodawna rzesza rodów słowiańskich — to rozsadnik dziś żyjących narodów słowiańskich. Skreślić dzieje prastarych tych Słowian, to tyle, że stanowiska historyografii polskiej, co wytknąć warunki, w jakich na widowni nadwarciańskiej i nadwiślańskiej, tworzyły się związki państwa polskiego.

Edward Bogusławski, którego pierwszy tom „Historyi Słowian“ ukazał się w Krakowie, w r. 1888, drugi zaś obecnie, w Warszawie, należy do ostatniej kategoryi ogólnikowo, pobieżnie, *grosso modo* zaznaczonych powyżej „genezyjezyków“ - erudyta tej samej zasobności i szerokości przesłanek źródłowych, co i głośni w tym zakresie starożytnicy czescy, Szafarzyk lub Szembera. Od innych odróżnia go ten szczegół, że w pościgu za cofającym się w mroki przeddziejowe wątkiem podań naukowych sięga z nieco większą niż inni śmiałością do *aryjskich* posad słowiańskości — do owej wspólnoty wszechplemiennej, którą niegdyś Niemcy nazwali „indo-germańską,“ a następnie, przez grzeczność dla barbaryi sąsiedniej galsko-celtyckiej z jednej strony, litewsko-słowiańskiej z drugiej — zgodzili się na modyfikacyę połowy drugiej, przymiotnej całego miana — na modyfikacyę „indo-europejską.“ Jednakże, wyznać trzeba, że owi praszczurowie nasi Indo - germańczycy, Indo-europejczycy, czy też raczej Aryowie pierwotni, nie oddali, jak dotąd, zbyt wielkich usług historyografii i historyozofii polskiej. Na pierwszym planie dochodzeń, zamiast łączności ogniwowej (rodowodowej) - *wzdłuż* czasów—stanęła zaraz sprawa rozgraniczeń drugo-pochodnych — *wszerz* przestrzeni. Rozpoczęła się długa, żywa i często, niewiedzieć dlaczego namiętna walka o to, gdzie mianowicie, w prawieku po odlocie rojów aryjskich do Europy kończyły się wschodnie ule Niemców, a gdzie się zaczynały zachodnie barcie Słowian. Z Tacytem w zanadrzu, Niemcy utrzymywali, że *cały* lewy brzeg Wisły do nich niegdyś należał; Słowianie, z Herodotem, Ptolomeuszem i Jornandesem w kieszeni, twierdzili, że przeciwnie, albowiem nietylko lewe pobrzeże Wisły, lecz Odra cała, Łaba prawie cała, aż do Renu niemal, były *ab origine* słowiańskie. Posypały się obustronnie groty dowodów językowych, topograficznych, hydrograficznych, kronikarskich, kodeksowo - etnograficznych. Stał się zamęt okropny, wśród którego wszystkie grody i osady środkowo-europejskie od Ptolemeuszowej *Calisii* (Kalisz) do Thietmarowego *Dziewina* (Magdeburga) przechodziły kolejno z rąk do rąk, to do Niemców to, do Słowian. O zmroku — powiada trywialne przysłowie francuskie — każda krowa wygląda szaro. W niepewności i zamieszaniu dat, epok, okresów, najfantastyczniejsze przypuszczenia są możliwe. Edward Bogusławski zapewnia np., że nazwy rzek, gór, jezior, wsi, kończące się na *awa* (Kłodawa, Weltawa, Sudawa) i na *ana, ina, ena, ona* (Arkona, Oszmiana, Cybina, Liwena) — nazwy „pokrywające całą środkową Europę,“ są słowiańskie, słowiańsko-polski, i wskazują nam na obszerność siedzib przodków naszych.“ Lecz skąd pewność, że nazwy takie nie powstały wtedy, kiedy jeszcze między rojami Słowian i Niemców, osiadającemi, w wędrówce kolonizacyjnej, nad Łabą i Odrą, zachodziły resztki wspólnoty aryjskiej? Że się później, kolejami dziejów, narzecza rozstrzeliły, że Niemcy zaszli nieco dalej od *awa* i *ena*, a Słowianie stanęli nieco bliżej przy nich, cóż stąd za argument dla hypotezyjnej słowiańskości owych rzek lub gór na *ana* i *awa*? A przytem, ani Niemcy ani Słowianie nie są w Europie autochtonami, tubylcami; żył ktoś przed nimi, co te strony zamieszkiwał — i zanim wśród przybywających Aryów (Niemco-Słowian) zatonął, powoli w ich krew i w ich mowę wsiąkał. Istnieją poszlaki niezatarte, niezbite, że takimi troglodytami i pierwotniakami na lądzie europejskim byli pobratymcy i współplemieńcy „uralczyków“ - praojców Finów i Węgrów dzisiejszych. Z ich to języka lepiej może jeszcze, niż ze słowiańskiego lub gockiego (Ulfilasowego) dałyby się wyprowadzić nazwy na *awa* i *ena*. Sena (Sekwana), Essona, Sana, Saona, Sana we Francyi, Sonne w Belgii, Saane w Szwajcaryi, Saona, Asona, Sinna we Włoszech — tak samo jak San w Styryi lub San galicyjski, bez porównania bliżej wiążą się z pierwiastkami fińskimi i madziarskimi *soan, sean, seoin* (męt, muł), niżli z jakiemikolwiek innymi aryjskiego pochodzenia; równie jak i Wezera, Wisła lub Vesle (we Francyi)—od *viz, vez* (ciecz, woda).

Rozumie się samo przez się, że przykład rzucony od niechcenia, prawie na wiatr, nie jest żadnem wystąpieniem do polemiki z uczonym slawistą lub z jego współwyznawcami. To tylko chmurka przygodnej wątpliwości, puszczona nad morze wywodów bezdennie ruchomych — wywodów tej samej wszakże wagi etymologicznej, co i wywodów szwajcarskiego Schwitz od Świtezi lub greckiego „kalamos“ — od słomy. Dwutomowe dzieło Edwarda Bogusławskiego nie składa się zresztą wyłącznie z lingwistycznych zdobyczy na Niemcach ziem obotryckich, lutyckich, wenedzkich czy też winidyjskich, pod pozorem, że dokoła Berlina lub Lubeki, w promieniu mil stu, naliczyćby dziś nietrudno od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu osad z zatartemi znamionami słowiańskości zawodnej i aryjskości niewątpliwej. Praca jego, aczkolwiek opartą została na grzęzkiej, zapadającej się co chwila głębi rodowodowej, obejmuje przecież, obok tych moczarów, masę wzgórzy i płaskowzgórzy twardych, na mocnej posadzie wzniesionych i opartych. Już w drugiej połowie pierwszego tomu autor wydobyć się usiłuje z trzęsawisk przedhistorycznych na bystrzejszy strumień ściślej historycznego opowiadania. W tomie drugim bezpiecznie z nim wypływamy i płyniemy wśród krain i okolic, które książka ofiaruje nam jako rodowicie „nasze,“ a chociaż metryk dziedzictwa tego nie znajdujemy ani w Gallusie, ani w Kadłubku, ani nawet — czas jakiś — w Nestorze, to jednak godzimy się z nim chętnie w imię bodaj zasady Tadeuszowskiej: „Gdańsk — miasto nasze — będzie znowu nasze.“ A więc mamy najpierw: dzieje osiedlenia Chorwatów w Illiryi w roku od narodzenia Chrystusa Pana 295, dalej Serbów na prawym brzegu Dunaju 322—334 r., tuż zaraz, obok nich, w Panonii, Wenetów, Antów i Słowian, znoszących jarzmo Gotów, których wypędzają Hunnowie Attyli 375 r. Idą z kolei rozmaite gromadki aryjsko-słowiańskie nad Łabą aż do wędrówek Herulów między r. 498 a 512, utworzenie się w r. 567 państwa awarskiego (Obrów — olbrzymów) na ziemiach otwarcie zaliczonych przez Nestora do „słowiańskich,“ tudzież podbicia Słowian naddunajskich przez nadwołżańskich Bułgarów, 679 r.; obalenie państwa awarskiego przez Karola W. w r. 796 i historya Moraw, Słowacyi i Chorwacyi od r. 818 do 853. Nareszcie spotykamy się z dobrymi naszymi znajomymi: z Lechitami. „Charakterystycznem znamieniem plemion lechickich — pisze z tego powodu Edward Bogusławski — są samogłoski nosowe, które do dnia dzisiejszego znajdują się w mowie polskiej... Te dźwięki nosowe pierwotnie brzmiały, bez żadnego wyjątku, na całej wielkiej przestrzeni od morza Egejskiego do Wisły i daleko na zachód, w głąb Europy środkowej... Tenże sam dźwięk nosowy brzmiał pierwotnie i w samej nazwie Lechów (Lęchów), która wytworzyła się z wyrazu łęgi i jego od-

mian, a znaną już była za grecko-rzymskich czasów w formie Lugi, w której *u* odpowiada dźwiękom nosowym... Lugani byli Helwetami, przodkowie Heweldów czy Hawelan. Hawelanie zaś, czyli Hawolanie, należeli do Lutyków, których Nestor zowie Lęchami. Lugami byli także Lugiones Sarmatae, przodkowie Serbów Łużyczan" (II, 365—367). W oczach profana uchodzi to wszystko, naturalnie, za gatunek baśni „trzy po trzy"; ale dzieło posiada w przytoczonym ustępie dziesięć do jedenastu odsyłaczy, od r. 1981 do 1999 włącznie, a niejeden taki odsyłacz kosztował może rok studyów i wart jest niekiedy tyle (dla Słowian), co pięć lub sześć prelekcyj w College de France z literatury i języków słowiańskich w pięć lat po Mickiewiczu lub w rok po Chodźce.

Wszelakoż recenzentowi mimowolnie wyrywa się w tem miejscu westchnienie. Jak tu jeszcze z tymi początkami Słowian i genezą Polski daleko do końca! Ale cóż począć? Nauka zna tylko dwie drogi, albo błyskawiczną, po której geniusze przelatują, albo wyboistą, pełną jam, jarów, wąwozów, kałuż przepaścistych, rowów nieskończonych i mostów zawalonych — drogę rodowicie polską, którą okrążać nieraz trzeba o kilkaset sążni z daleka, a błądzić, a skręcać, a wracać — co chwila. Pocieszajmy się nadzieją, że tak czy inaczej, dojedzie się jakoś, przed nocą wiekuistego spoczynku, na popas znośniejszy nieco. Nie trzeba tylko dopuszczać myśli rozpaczliwej, że jazda jest bez celu, że nas lada cyklista z nad Sprewy koniecznie ubieżeć i prześcignąć zdoła na tych gościńcach lęczyckich, łukowskich, łuckich lub ostrołęckich. Dotrzemy sami powoli do jakiejś gospody, zameczyska, grodźca lub grodziska, z którego nagle, ni stąd ni zowąd, odsłoni się przed nami odkrycie nieoczekiwane, z którego pomocą, spaliwszy stosy hypotez illiryjskich, dackich, normańskich, huńskich, gockich i ostrogockich, wytopić zdołamy złotą grudkę prawdy. Jak na dziś, widoki są marne, bo nawet u podstaw niezdecydowane i rozbite w dwóch kierunkach do niemożliwości zagmatwanych. Jeden z nich wychodzi z założenia, że społeczność nasza dziejowa sformowała się spontanicznie, drogą doboru naturalnego, z żywiołów swojskich; drugi wytrapia oznaki i zabytki podboju zewnętrznego w tem właśnie, co samorodztwo uznało za niezaprzeczoną dziedzinę swojej własnej domyślności. Alternatywa mieni się często wszystkiemi barwami dawnych sporów scholastycznych lub późniejszych dyalektycznych — jest przytem uciążliwą, nużącą, nudną — nieskończenie nudną.

K. Włostowski.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

IV

Andrzej Niemojewski: *Wybór poezyj.* Warszawa, 1899.

Andrzej Niemojewski nie jest zapewne największym artystą wśród młodych pisarzów naszych, a przecież jest to jedna z najwybitniejszych w ich gronie postaci. Możnaby go nieledwie przeciwstawić im wszystkim, z wyjątkiem chyba Kasprowicza. A poczucie tej odrębności nie jest poecie obce. Może to lepiej iść za przykładem współbraci — mówi on w jednym z ostatnich swych wierszów — „może to lepiej iść w nasze Tatry... patrzeć daleko po cudnej hali i słuchać bajań naszych górali... albo jak orzeł od skalnych szczytów ulatać myślą w przepaść błękitów. Ach, może *zdala świata i ludzi* śpiew jakiś lepszy w duszy się zbudzi..." A jednak Niem. tej drogi nie obierze.

Można dostrzedz niejedno podobieństwo pomiędzy stanowiskiem piewcy „Irredenty" a stanowiskiem autorki „Chłopskiego serca" przed dwudziestu laty. Jak ona wołała: zbudźcie ton, co tętnem jest stuleci, ja milion serc wzruszonych pieśnią dam — tak Niem. z gorzką ironią spogląda na swych rówieśników: „Wzrok wasz nie dostrzegł stulecia znamion, prawda nie dała skrzydeł u ramion... Nikłe skargi, mdłe zawody. liliputcich duchów zgłoski, które zetrze olbrzym czasu małym palcem swojej ręki..."

„Nigdy ja na tej nie stanę wyżynie, kędy przed wzrokiem, wpatrzonym w wszechświaty, ziemia z swą nędzą tak bladnie i ginie, jak tęcz mdlejących szkarłaty..." Pamiętamy wszyscy, kto to powiedział. A nasz poeta z gniewem i żalem dyktuje te sarkastyczne rady: „Tam w dole ziemia! Na ludzkie mrowisko posępnem okiem nie patrz nigdy zblizka, lecz patrz zdaleka i niechaj krzyk świata, jak jakaś wrzawa do ciebie dolata, wrzawa, przed którą *człek o pięknej duszy palcem wyższości zatyka swe uszy.*" To nie pojedyncze nuty i nie wypadkowa zgodność głosów, to wyraz tej samej u obu poetów dążności na zewnątrz, tam, gdzie nędza, i znój, i cierpienie i niesprawiedliwość. Są i różnice w tem dążeniu, zależne przeważnie od zmiany warunków życiowych. Konopnicka chadzała jeszcze wiejską ścieżyną, zarosłą polnemi zioły, zaglądała do chłopskich chat, oddychała powietrzem łąk. Jej westchnienia odbijały się o zieloną ścianę lasu lub o obłoki, płynące nad niwami. I Konopnicka wiedziała o istnieniu „wolnego najmity," lecz wiedza ta była cokolwiek teoretyczna. Jej najmita jeszcze był znakiem zapytania dla siebie i autorki: jeszcze on staje „pomiędzy półkami jęczmienia i żyta," niepewny, w którą ma się stronę obrócić. Wskaże mu ją Niemojewski. Oto wyrobnica, wygnana z chaty, obok niej dziewczę nieletnie. Jeszcze dziecina szczebiocze językiem, którego ją nauczyła Konopnicka, językiem, który stało spotykamy u Niemojewskiego, ilekroć dotyka tematów sielskich; ale gwiazdą przewodnią dla matki — krwawa pożoga fabrycznych łun i tam znajdzie męża przed piecem hutniczym. A może on z oskardem w dłoni postępuje właśnie w „nowym chodniku," we wnętrzu góry węglowej?

Jeżeli mówiliśmy o podobieństwie roli, którą Konopnicka i Niemojewski wyznaczają swemu słowu, jeżeli dostrzegaliśmy pokrewne u obu pieśniarzy tony (do których dodamy tu jeszcze jeden *Contra spem spero*) — nie chcieliśmy przez to utrzymywać, że po za wskazanymi różnicami ich oblicza duchowe są tożsame. Niewątpliwie są to odrębne organizacye poetyckie. Zwróćę tu uwagę tylko na jedną stronę tej odrębności. Konopnicka dawniej nie umiała się śmiać. Na ustach Niemojewskiego raz po raz jawi się uśmiech, na poły smutny, na poły ironiczny, niekiedy gorzki. I kiedy u poetki jej „myśliciele" i jej „duchy," pukające w noc gwiaździstą do niebieskich podwoi, otoczeni są pewną aureolą, autor „Bajki małżeńskiej," „Dwu amorków" itd. jest powściągliwszy. „Nieraz sam chciałem zapał tchnąć do piersi tłumu, i słyszałem za sobą śmiech mego rozumu." W sposób więc żartobliwy opowiada niewesołe kłopoty swego „liryka" i jego „muzy." Żart staje się niekiedy zbyt jaskrawym. I najtragiczniejsze położenie nie budzi pobłażliwości w poecie. Zdradzony kochanek, podniecony winem, szuka spokoju na dnie rzecznem. Niestety, zimne fale przywołują zapaleńca do porządku. Ociekający wodą, błotem owalany, kroczy, jak strach nocny, przez ulice miasta, a wreszcie u zamkniętej bramy klnie nadmierną egzaltacyę i stróża, którego dowołać się niepodobna.

Lecz najlżejszy ślad uśmiechu znika z ust pieśniarza, gdy schodzi na niziny, gdy staje wobec ofiar wielkiego przemysłu, wpadając może niekiedy w przesadny patos. Możnaby uczynić zarzut autorowi, iż obrazy jego są zbyt jednostajne (a wrażenie to potęguje wciąż ta sama forma zwrotkowa i wieczne amfibrachy), i zarazem ogólnikowe. Zapewne, coraz to inny widok się nam przedstawia, gdy zwiedzamy po kolei różne części kopalni i w różnych chwilach jej życia: prawda i to, że poeta nie mógłby wchodzić w bliższe szczegóły urządzania pieców hutniczych lub czegoś podobnego. Ale stosunek wzajemny ludzi, przesuwających się tu jak sylwetki, ale stanowisko ich względem żelaznych potworów i całego tego systemu żelaznego są jakieś okrzepłe i nieruchome. Powiedzmy, że stanowisko samego autora jest zesztywniałe. Obrazy te nie wprowadzają nas w świat nowych wyobrażeń i zamykają się jakby w sobie, nie ukazując szerszych widnokręgów. Nie może nam chodzić o jakieś szczegóły techniczne, licznym rzeszom czytelników nieznane i dlatego ich ciekawość budzące. Szukamy ludzi. Autor niekiedy pragnie po za bezpośredniem wrażeniem wskazać widok odleglejszy. „I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ścian trąca, a wkoło brzmi cicho głos rzewny: Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca? Czy wrócisz? — Któż pyta! My lecim bez końca jak ludzkość... na szali niepewnej." Ta „ludzkość na szali niepewnej" jest tylko mechanicznie do obrazu dodanym wykrzyknikiem. Perspektywa zaś sama przez się powinna wyłaniać się z przedmiotu. Nie trzeba jej dotykać, trzeba ją tylko poddać widzowi. Ale to nie wszystko jeszcze. Gdzieś w obcej stronie poeta spotyka ubogich rodaków. Pierwszem jego poruszeniem było zbliżyć się do nich, lecz jakieś onieśmielenie powstrzymało go. Cóż im powie? „Pomyślałem sobie, że żyjemy, myślimy, czujemy w obłokach, zbliżamy się do gminu w obłokach, bratamy się z nim w obłokach... Ale gdy zejdziemy na ziemię, nie umiemy nawet do niego przemówić. Patrzyłem na tych nędzarzy, jak mara zaświatowa na żywych ludzi spogląda, czułem, że nie jestem człowiekiem żywym, ale ideą, abstrakcyą..." Otóż abstrakcyjność tę czuć w obrazach Niemojewskiego, i ona to wysysa z jego postaci gorącą krew. On się zbliża do swych współbraci z wielkiem współczuciem dla ich niedoli i z dokładną znajomością ich ruchów zewnętrznych, ale między jego duszą, między jego trybem myśli a światem ich wyobrażeń, uczuć i dążeń niema istotnego łącznika. I dlatego ów świat, wobec którego na zewnątrz pozostaje, nie indywidualizuje się w jego oczach.

Nie trzeba sądzić, żeby wzrok Niemojewskiego był wytężony jedynie w stronę czarnej otchłani, z której wypada czarna kaskada węgla, lub też odwracał się z uporem ku ceglastej łunie, gorejącej nad hutami żelaza. W jego obrazach, gęsto przetkanych lirycznymi wylewami i refleksyą, odzwierciedliły się różne strony życia narodowego.

Obok tego napół epickiego działu w twórczości Niemojewskiego, istnieje niemniej może obszerny dział poezyi egotycznej, która wszelako tę ma właściwość, że nawet zmieniając kierunek lotu, z tego samego źródła wypływa i w najistotniejszej swej treści społeczną być nie przestaje. Poeta wydobywa z swej lutni najczęściej tony posępne, podobnie jak malując swe obrazy, zwykle unika barw jasnych. „Ty, za ciemną skryte chmurą, złote słonko moje ty! A na świecie tak ponuro, tylko łzy, tylko łzy!" Śpiewak łączy więc swój głos z nieprzejrzanym chórem głosów smu-

tnych i jękliwych. Ale co zakłóca jego równowagę wewnątrzną? Zdrada kobiety? miłość nieszczęśliwa, wieczne rozstanie? Zapewne posłyszymy znowu gorzkie wyrzuty, czynione światu, którego atmosfera zmroziła kwiaty uczuć, starła natchnień roje. Bo dlaczegóż z boleścią ogląda się na swą młodość i woła z goryczą: „jam nawet nie rozwinął młodzieńczych skrzydeł“? Dlaczego nie rozwinął? Jaką krzywdę wyrządzili pieśniarzowi los czy ludzie? „Znam silnego szatana, z którym się szamoczą rówieśni mego wieku, on zwie się niemocą.“ Jaka niemoc? Czy jest to niezaspokojony głód wrażeń? Czy poeta napróżno poszukuje „słowa,“ tego słowa, co daje twórcy świadomość swej potęgi, a ucieleśniając powiewne mary i nieokreslone porywy, dostarcza mu ukojenia?

Zapewne, głębokie zniechęcenie, które go chwilowo opanowywa, jest indywidualnym jego stanem: zapewne, wówczas własny mu tylko ból na sercu leży. Ale to przygnębienie, ten długi szereg zwrotek, w którym niepodobna dopatrzeć jakiejś tendencyi, umyślnego zamiaru, jest wypływem tej samej siły, która nakazała poecie iść pomiędzy upośledzonych i nieszczęśliwych lub wsłuchiwać się w tajemnicze głosy gwarnej stolicy. To dwa różne strumienie, których źródło znajdziemy w tej samej myślącej i czującej duszy, to dwie formy, w której się dusza ta, zawsze jednaka, przed nami objawia. I już teraz wiemy, że napróżno poeta zapytuje siebie: „może to najlepiej z tych walk i hałasów uciec gdzieś w mrok dziewiczych lasów.“ Nie ucieknie. Czyż duszę swą sprzeda, czy ją na inną wymieni? Tylko czasem zmęczony wzrok zatonie w głębiach morskich: tylko niekiedy w ciszy wieczornej ochłodzi swe rozpalone czoło.

Cichy wieczorze! Cieniami swojemi
Ty mi przysłaniasz całą nędzę ziemi,
Całą znikomość tej wrzawy dziejowej,
Ów krok przez ciemność do ciszy grobowej!

(C. d. n.).

A. Drogoszewski.

LITERATURA POLSKA.

Wacław Sieroszewski (Sirko). *Risztau*, powieść z ilustracyami A. Kamieńskiego, str. 210. — Wł. St. Reymont: *Lili*, żałosna idyla z ilustracyami T. Jaroszyńskiego, str. 298, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1899.

Świeżo wydana powieść Wacława Sieroszewskiego p. t. „Risztau“ nie stanowi dalszego ciągu zajmującej a smutnej sagi krain podbiegunowych, płynącej szeroką falą epopei w jego pierwszem, znanem już dziś powszechnie, opowiadaniu „Na kresach lasów,“ to znów wstrząsającej dramatycznością sytuacyi w takich utworach, jak „Chajłach,“ „W ofierze bogom,“ lub „W matni.“ Chociaż „Risztau“ znajduje się niewątpliwie w pewnem pokrewieństwie ideowem z tymi pełnymi grozy obrazami macochy-natury i zamieszkujących ją dobrowolnie lub przymusowo ludzi-męczenników i wygnańców, ale zarówno sam wątek powieści, jak i tło jej ogólne, są tutaj zgoła odmienne.

Nie w lodowate tundry, zamieszkałe przez Tunguzów i Jakutów, prowadzi nas z sobą autor, nie każe się przysłuchiwać dzikim poświstom wichrów, wiejących od mórz północnych lub tęsknemu szumowi olbrzymich srebrnych jezior, rozbijających faliste łona o brzegi granitowe, ale pozwala kąpać się dowoli w ciepłem powietrzu Kaukazu, przesyconem zapachami południowego lasu, skoszonego siana, kwiatów, miodu i dojrzewającego zboża, leje na głowy nasze strumienie całe złocistego żaru, „szalonego, mocnego, jak wino i jak wino upajającego,“ który przenika wszystko i roznosi, rozpyla wszędzie niewiadomo skąd lecące wonie wanilii i heliotropu.

Risztau — to nazwa jednego z niedostępnych szczytów kaukaskich, a chociaż pełna niebezpieczeństw wyprawa przez jego grzbiet niegościnny, mająca ocalić głównego bohatera powieści od zguby niechybnej, rzuca nas chwilowo w krainę lodów i śmierci, w paszcze rozszalałych potoków, przepaści bezdennych i strasznych kataklizmów natury, to jednak epizod ten przejściowy nie odejmuje całej powieści charakteru oryginalnej a sympatycznej sielanki miłosnej, rozgrywającej się gdzieś pod niebem południowem, u stóp gór olbrzymich, między dwojgiem młodych ludzi, znajdujących się tu przypadkowo i noszących w głębi duszy napół uświadomioną tęsknotę do innych krajobrazów i nieba innego.

„Widzi pani — odzywa się przybyły na Kaukaz w celach naukowych młody przyrodnik Wichlicki do bawiącej tu od dziecka Heleny — nasz kraj jest piękny zupełnie inną pięknością... Krajobraz bywa niekiedy smętny, rzewny, to znowu łagodnie uśmiechnięty... A nad tem wszystkiem niebo nizkie, chmur pełne, swojskie i miłe... Wie pani: widziałem dużo, ale oddałbym morza, zwrotniki i inne cuda za te nasze piaski, jałowce i sosny... Takie to dla nas nieskończenie wszystko miłe i drogie...“

W tych kilku słowach maluje się zarówno głębokie przywiązanie bohatera powieści do ziemi rodzinnej, jak i zasadniczy podkład jego duszy prostej, niezłożonej, nie zawsze zdającej sobie dobrze sprawę z uczuć doznawanych, niemniej jednak zdolnej do miłości gorącej i stałej. Bohaterowie Sieroszewskiego bywają zresztą zazwyczaj naturami mało skomplikowanemi, dążącemi prostą drogą do celów jasno wytkniętych i nie zrażającemi się pierwszą lepszą przeszkodą, rzuconą przez los pod ich stopy. Ta „niezłożoność“ psychiczna, cechująca również większość postaci, występujących w „Risztau,“ wypływa tu w zupełności ze sposobu ich życia, będącego jednem pasmem walk z otaczającą naturą o konieczne środki egzystencyi.

Jeszcze stara pani Strasiewiczowa, sympatyczna i wybornie narysowana wdowa po byłym urzędniku Banku Polskiego, marzy niekiedy, nie dla siebie już nawet, ale dla synów, o powrocie do kraju. Synowie ci jednak, zajęci polowaniem i uprawą roli, nie mają czasu bawić się w poezyę; każdy z nich zakreślił sobie własny, dosyć mały ideał życia: do jednego, jak do brata przemawia bór, drugi to tylko pojął z wzniosłych poglądów zmarłego oddawna ojca, że człowiek powinien starać się siedzieć na roli i brać z niej własną pracą, co mu trzeba. „Tak, panie!.. Uwierzyłem w to na zawsze, gdyż przemówiło to do mnie jasno i prosto, i żadnych więcej zachodów, żadnych mędrkowań nie trzeba... Pracuj dużo, potrzebuj mało... Gdyby tak wszyscy postępowali, byłoby wszystko zaraz rozwiązane...“

Wychowanka Strasiewiczów, Helena, myślą chociaż przenosi się czasem „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,“ z daleka, bardzo daleka, przemawiających w dziwny sposób do jej wyobraźni i uczucia; książkę, opisującą je, całą niemal umie na pamięć. Młodzi Strasiewicze natomiast nie czytają prawie wcale: zawsze ogromnie są zmęczeni. „W święto wysypiają się, a w powszedni dzień robota.“

Nic dziwnego, że ten świat nowych uczuć i myśli, który do skromnego domku Strasiewiczów wniósł z sobą Wichlicki, przemówił najsilniej do wrażliwej duszy Heleny, że pięknej dziewczynie młody przyrodnik, bawiący chwilowo w domu jej opiekunów, wydał się jakimś zaczarowanym rycerzem z bajki i podbił odrazu jej serce. Ona jedna z całego otoczenia zdolna była zrozumieć i odczuć treść i znaczenie słów Stanisława, gdy ten, zapatrzony w jej cudne oczy, wołał z zapałem młodzieńczym:

„Przypuśćmy, że wykarczujecie drugie tyle, sto razy „tyle puszczy... Cóż z tego? Najcenniejsza z was cząstka, ta wyższa, misterna robota ducha, będąca wyrazem człowieka, przepadnie, gdyż dziedzictwo po was wezmą inni, a może i nikt nie weźmie... Byli tu przed wami Czerkiesi — i znikli; nic po nich nie zostało, prócz zdziczałych ogrodów bez wartości... Wasza robota tutaj, to robota wołów. Niech mi pani wierzy!.. Z korzyścią można pracować tylko wśród swoich, tam najdrobniejszy wysiłek nabiera treści — a reszta... zoologia!“

Żałować należy, iż autor, zająwszy się opowiadaniem nadzwyczajnych przygód Wichlickiego i jego wybawców w ich niebezpiecznej wyprawie na Risztau, nie pogłębił samego stosunku dwojga zakochanych i wogóle zwrócił mniejszą uwagę na stronę psychologiczną swego zajmującego utworu. Scena np. pożegnania Stanisława z Heleną, przed wyprawą młodego uczonego w góry, mającą się dla niego zakończyć tak fatalnie, trzymana jest przeważnie w ogólnikach, niemalujących silniejszemi barwami indywidualności tych dwojga ludzi, od których przecież mielibyśmy prawo wymagać, aby nie przemawiali do siebie w tonie przeciętnych kochanków powieściowych.

Zamiłowanie autora do odtwarzania zdarzeń niezwykłych odbiło się tym razem i na samej budowie powieści. Dość przypomnieć, że Wichlicki dostaje się do domu Stasiewiczów, dzięki kuli, którą Jerzy przedziurawił mu *przypadkiem* piersi, że stosunki z tym domem i z Heleną nawiązują się na nowo, dzięki truciźnie, którą Justyna (postać wogóle trochę zagadkowa) uraczyła *niechcący* swego ex-kochanka Szymona, pragnąc odzyskać jego serce. A dalej, że Stanisław w swej karkołomnej wyprawie naukowej na szczyt Risztau nietylko zasypany został przez usuwającą się górę i zatopiony przez fale utworzonego niespodziewanie jeziora, ale w dodatku stoczył się w przepaść i tylko dziwnym zbiegiem okoliczności uniknąwszy przytem śmierci, cudem już prawdziwym ocalony został przez Helenę i Jerzego, którzy zdołali dotrzeć do zatopionej doliny w ostatniej literalnie chwili, aby wydrzeć zalanego po głowę i nieprzytomnego już bohatera powieści z objęć nieuniknionej, jak się zdawało, śmierci...

Artystą niepowszedniej miary, ale jakże odmiennym od Sieroszewskiego, jest również autor „Komedyantki,“ „Fermentów“ i „Ziemi obiecanej“ — Władysław St. Reymont.

Sieroszewski w najbardziej wstrząsających scenach zachowuje stale pewien spokój epicki, podnoszący jeszcze grozę sytuacyi. Obrazy jego przemawiają do czytelnika zarówno zupełną nowością swych motywów, jak i prostotą użytych przez autora środków artystycznych. Niema w nich sztuczności, niema i drobiazgowego podpatrywania szczegółów, rysunek kreślony jest liniami szerokiemi, śmiałemi i ma niekiedy coś w sobie z owej nieświadomej naiwności starych mistrzów, która przemawia tak do nas zarówno z płócien prerafaelitów, jak z bohaterskich pieśni starogreckich lub olbrzymich poematów, układanych przed wiekami u źródeł świętego Gangesu.

Reymont jest pisarzem nawskroś nowożytnym, żyje i tworzy nerwami i duszę całą wkłada w swoje dzieło. Ruch, gwar, wielojęzyczność, bogactwo barw i dźwięków — oto jedna z zasadniczych cech jego twórczości, doprowadzająca często do przeładowania powieści szczegółami, do pe-

wnego nawet nieładu i chaosu, które zresztą w życiu samem na każdym kroku wzrok nasz uderzają. Maluje nierówno, to wielkiemi plamami barwnemi, to szeregiem drobnych, nerwowych, nie zawsze dosyć subtelnych pociągnięć pędzla, kłócących się z sobą niekiedy i wywołujących właśnie przy pierwszem wejrzeniu ową chaotyczność pozorną, o której wspominałem przed chwilą. W rysunku jego przeważają niewielkie linie i kreski; dla uwydatnienia szczegółów nie cofa się przed cieniowaniem drobiazgowem, którego jednak wogóle nie lubi.

Zalety utworów Reymonta wypływają głównie z umiejętności patrzenia na zmienne fale życia i odtwarzania z dużą plastyką ich ruchliwej powierzchni. Dzięki posiadanej w wysokim stopniu wrażliwości, umie uchwycić tętno chwili i ów ruch miarowy, poruszający danem środowiskiem, a zapoznawszy się z nim bliżej, uzupełniwszy strony ciemniejsze przy pomocy intuicyi artystycznej, roztacza przed czytelnikiem światy nowe, uwydatniając przedewszystkiem z talentem ich stronę zewnętrzną, dostępną dla wzroku i słuchu, lecz nie zaniedbując bynajmniej i psychologii.

Niektóre sfery zna wybornie i te maluje najchętniej, powracając z zamiłowaniem do tematów pokrewnych. Tu należy w pierwszym rzędzie życie aktorów prowincyonalnych, na którego tle osnuta została przez Reymonta jedna duża powieść, kilka mniejszych nowel i szkiców, oraz świeżo wydany utwór powieściowy p. t. „Lili," nazwany przez autora żałosną idylą, a będący w gruncie rzeczy zwykłą nowelą, rozszerzoną w wydaniu książkowem do rozmiarów sporego tomiku, przy pomocy paru epizodów, zręcznie dosyć powiązanych z treścią główną.

A wątek sam jest prosty. Dwudziestoparoletni chłopak z zamożnego domu ziemiańskiego, zakochany pierwszem uczuciem płomiennem w młodej i pięknej aktorce, rzuca dla niej rodziców i sferę, z której pochodził, przyłącza się do trupy wędrownej, dzieli jej dolę i niedolę, oddaje do użytku kolegów grosz ostatni. Naiwna, serdeczna, sympatyczna Lili, „jeden z najczystszych i najpiękniejszych kwiatów, jakie kiedykolwiek wykwitły na bagnistym gruncie teatru," odwzajemnia się uczuciem wyrostkowi szlacheckiemu, widzi w nim bohatera, ideał, bóstwo, ale w ostatniej chwili zdobywa się na poświęcenie bez granic, odrzuca propozycyę małżeństwa, woli pozostać skromną aktorką w teatrzyku, woli nawet rzucić na siebie cień podejrzenia strasznego, niż zawiązać życie ukochanemu nad wszystko Leonowi i wejść z nim razem w obcy i wrogi dla niej świat, do którego on wracać musi.

Postać pięknej, naiwnej Lili skreślona została z dużą subtelnością, występującą zwłaszcza w niektórych jej wybuchach lirycznych, pełnych istotnego i głębokiego uczucia. „Kocham cię, mój Lwie — szepcze naprzykład dziewczyna, dotykając końcami palców twarzy, oczu, czoła kochanka i gładząc pieszczotliwie jego włosy — kocham cię, mój mądry, mój dobry, mój jedyny, mój serdeczny, mój chłopaku złoty! Ja nie wiem, za co mnie kochasz, ja nie wiem dobrze, czego chcesz ode mnie. A jeśli mnie chcesz, to weź mnie sobie, zabij, zrób swoją służącą, bylem była przy tobie, byleś mnie tylko kochał. Ja jestem głupią dziewczyną, ja jestem krowientą, ale tak kocham swojego pana, tak kocham bezmiernie, tak kocham!" Czynnik zewnętrzny, w postaci rad matki, wpływający na ostateczną decyzyę Lili w sprawie małżeństwa z Leonem, obniża może o włosek jeden wartość etyczną tej postaci, ale robi ją za to tem prawdopodobniejszą, tem możliwszą.

Leona Zakrzewskiego natomiast nie zaliczymy do udatniejszych figur powieściowych Reymonta. Za mało ma rysów indywidualnych, zbyt biernie unosić się daje prądowi życia, a przytem, bądź co bądź, czytelnik darować mu nie może zbytniej łatwowierności w stosunku do Lili, którą opuszcza, nie wejrzawszy głębiej w pobudki jej postępowania, nie przekonawszy się w jakikolwiek sposób, że go zdradzała istotnie. Postać ta traci zwłaszcza, wobec całego szeregu innych figur aktorskich tej powieści, pełnych prawdy w każdym szczególe, wybornych pojedynczo i w scenach zbiorowych, wobec takiego choćby Olkowskiego, etuzyasty i marzyciela, w gorączce nawet odrzucającego ze wzgardą świąteczne dary filistrów.

Nad pojedynczemi jednak sylwetkami zatrzymywać się już nie możemy. Ze scen zbiorowych natomiast zwrócić jeszcze musimy uwagę na znakomity opis uczty wigilijnej aktorów, uczty, złożonej z wódki, śledzia i kartofli, a odbywającej się u tak zwanego Korniszona, w napół zrujnowanym gmachu poklasztornym. Jest tam coś więcej nad odtworzenie zwykłej pijatyki, jest ów humor prawdziwy, umiejący spoglądać na pewne objawy życia przez widoczny dla wszystkich śmiech i ukryte gdzieś głęboko łzy, jest współczucie szczere dla smutnej doli wykolejonych istot ludzkich, których jedynem szczęściem bywa niekiedy — zapomnienie.

„Pij, Olkowski — woła jeden z uczestników tej wigilii nędzarzów — pij, bracie, a będzie ci się zdawało, że jesteś kochankiem Szalkowskiej, że masz fajgla, że jadłeś przez cały tydzień obiady, że grywasz bohaterów! Pij, Feluś, pij, bracie kochany, mój królu złoty... psiatwarz, a twoja almawiwa grzać cię będzie, jak futro, i utopisz się w żarciu, a piciu, a kochaniu, a szczęśliwości. Pijmy, panowie, patyk złamany reszta!.."

Zarówno ładne ilustracye Jaroszyńskiego do „Lili" Reymonta, jak zwłaszcza wyborne rysunki Kamieńskiego do „Risztau," stanowią prawdziwą ozdobę obu tych książek, wydanych wogóle z niezwykłą u nas wytwornością.

Władysław Bukowiński.

Tak mówił Zarathustra ..

Dem Schweine wird Alles Schwein.
Nietzsche.

I.

Mistrzu Zarathustro, uciekasz na wierzchołki górskie, ażeby tam rozmyślać nad zasadami nowego objawienia; wybierasz ustronia, gdzie o wschodzie słońca każda trawka lśni kryształami rosy, a powietrze oddycha aromatami łąk, pól i lasów, ale gdzie niema ludzi i dokąd nie doleta gwar ich radości i pomruk od ich cierpień: kryjesz się w samotniach, a tam wyobraźnia podsuwa ci oderwane, bezcielesne schematy, nie zaś bliźnich moich, zgiętych w deptaku obowiązków codziennych, codziennej troski i codziennego jarzma. Stroniłeś i stronisz od mych współbraci w jednej niepodzielnej a jęczącej ludzkości i kiedy zjawiasz się przed nimi, nie litość i współczucie błyska w twojem oku, lecz pogarda i twardość!

Niesiesz rzeszom nową naukę o nadczłowieku i powtarzasz, iż istota ludzka jest czemś, co musi być zmożonem i co jest jako struna pomiędzy zwierzęciem a twoim nad-człowiekiem. Błąkasz się po świecie, nawołując wybranych, ażeby porzucili trzodę, wśród której żyją, i stali się jako blondynowa bestya, nieznająca litości i żyjąca po nad dobrem i złem. Powiadasz do nich, że niech będą jako koło samo z siebie toczące się po drodze.

Stawiasz im tablice, a na jednej z nich napisałeś:

„— Dlaczegoś tak twardy? — rzekł razu jednego pospolity węgiel kuchenny do dyamentu — azali nie jesteśmy krewniakami?

— Czemu tak podatni? O, bracia moi, pytam się was, bo czy nie jesteście moimi braćmi?

„— Czemu tak podatni, tak miękcy i ulegli? Skąd tyle zaparcia, przezaparcia w waszem sercu, tak mało siły losu w waszem spojrzeniu? Nie chcecie wpływać na losy, ani być nieubłaganymi! Jakimże sposobem zdołacie pospołu ze mną zwyciężać?

„— I skoro wasza twardość nie jest jako błyskawica zdolna rozrywać i miażdżyć, czyliż możecie ze mną stwarzać?

„— Bo stwórcy są twardzi. I błogość musi was ogarniać na myśl, iż ręka wasza spocznie na stuleciach jako na wosku!

„— Błogość, że będziecie pisali na woli stuleci, jako na spiżu, hartowniej niż na spiżu, szlachetniej niż na spiżu. Najszlachetniejsze tylko jest zupełnie twardem hartownem.

„— Bracia moi, taką nową tablicę stawiam nad wami: Stańcie się hartowni!"

Tak mówił mistrz Zarathustra. Rzekł on: „Werdet hart!" To znaczy:

Pamiętajcie, że na was ciążą nietylko obowiązki, lecz że także posiadacie prawa.

Pamiętajcie, że trzeba hartu ducha, ażeby z pajęczyny ciasnych uczuć wyrwać się na drogę wielkich czynów, ażeby nad ciche wczasy przenieść mozoły walki.

Pamiętajcie, że lepiej być złamanymi przez zawieruchy życia, niż zgiąć się jako wątła trzcina.

Wielkie to zasady, mistrzu Zarathustro, choć nie każdy je zrozumie, bo mówisz nie dosyć jasno, i twoje „Werdet hart!" może być wytłomaczone inaczej, jako zachęta do posiadania pazurów tygrysich; bo w twojem oku niema miłości, a na innych tablicach wyryte są zaprawdę twarde rzeczy.

„— Patrzcie, oto nowa tablica — powiadasz.

„— Moja miłość, największa dla najodleglejszego, głosi: nie szczędź bliźniego twojego! Człowiek jest czemś, co winniśmy przemódz w sobie!

„— Zwycięż jeszcze siebie w bliźnim swoim i prawa, które zdołasz wziąć siłą, nie pozwalaj, ażeby ci z łaski dawano!

„— Czego dokonasz, nikt inny nie zdoła ci dokonać. Patrz: niema na świecie wzajemności!"

Ale mistrzu nowej prawdy, rozmyślający w pustelni, na łonie przyrody, zdala od jęków i gwaru, czy noga twoja stąpała po kamiennym bruku, gdzie niema kwiecia i rosa nie wchłania w siebie barw tęczy, dokąd dochodzą promienie słoneczne, zbrukane przez sadze? Czy przyjrzałeś się tym, którzy

...dźwigają cierniową koronę
Codziennej troski?..

.. Przed tobą na widnokręgu kopuła z pyłu i sadzy, kryjąca w wnętrznościach swoich wielkie, nawet bardzo wielkie miasto. Słońce krwawo podnosi się z pod widnokręgu, a w ciągu dnia jest jak zamglone. Tam niema aromatów twojej pustelni i dźwięków swobodnej przyrody. Tam ludzie nie mają czasu nietylko rozmyślać, lecz nawet odpocząć. Udaj się w mury tego potworu, a patrz uważnie na to, co twoim bliźnim pozawieszano na piersiach. Idź nie piechotą, bo podróż po bruku miejskim jest męcząca, tylko siadaj do pociągu, który całą siłą pary mknie teraz ku Berlinowi.

Jedziemy po torze miejskim. Stajemy na dworcu. Przed nami uwijają się konduktorowie i oficyaliści kolejowi, każdy zaopatrzony w numer na piersiach. Nie pytaj o imię, ani o indywidualność, bo ludzie ci pozbyli się swej osobowości. Są oni numerami w olbrzymim mechanizmie wysiłków, niczem innem, tylko numerami. Nie pytaj także o imię ani tragarzy, którzy tłoczą się dokoła ciebie, ani służby, od-

bierającej bilety, patrz jedynie na ich numer!

Wyszliśmy na ulicę. Oko twoje już samo szuka numerów. Znajduje je na piersiach lub ramieniu posłańców i policyantów, na przejeżdżającym wozie lub welocypedzie, na czapce konduktora tramwaju i dorożkarza, nawet na przechodzącym malcu, który roznosi gazety.

Zmęczony jesteś widokiem numerów i pragniesz schronić się do pobliskiej kawiarni. Nie znajdziesz tam ludzi, tylko ponumerowane istoty. Chcesz posłuchać muzyki w parku — nie chodź, bo znowu ponumerowane ssaki dwunożne staną przed tobą, oczekując rozkazów. Zamierzasz ukryć się w hotelu? Bądź ostrożny, żebyś sam nie utracił imienia i nie przekształcił się na numer!

Dokoła ciebie snują się dusze bezimienne i dusze numerowane, dusze pozbawione indywidualności i ustawione w ordynku według ruchu lokomotywy, i to nie na godzinę, ani na dobę, po których zdołaliby zdjąć swój numer i przybrać postać imienną. Nie, numer stał się dla nich przekleństwem, noszą go od ranka do wieczora, dzień po dniu, przez całe życie. A jeśli zapytasz mędrców tego świata, to odpowiedzą ci, iż w tym zwyczaju tkwi źródło ładu. Niestety, mają słuszność. I rzekną ci, iż w dniu jutrzejszym dusz ponumerowanych będzie dwa razy tyle, pojutrze zaś może ich liczba wzrośnie dziesięciokrotnie. I wierz mi, że Laboulaye bynajmniej nie przesadzał, kiedy mu się majaczyło, iż wszyscy moi i twoi bliźni mogą zostać ponumerowani. „Dzisiaj dzielny wodzirej tańców, zapisany w księgach ludności jako numer 12,453 w seryi dziesiątej, będzie prowadził mazura u państwa 15,328...“ Uśmiechasz się, bo sam widzisz, iż będzie to tylko ostateczne upodobnienie mężczyzn salonu do kelnerów. Ale nie zapominaj, iż człowiek nosi tam numer od urodzenia i pod nim słynie wśród rodaków. Centralizacya ogarnia przemysł, przewóz, usługę, słowem wszelkie zakresy życia, stwarza jednostajność planu i ułatwia człowiekowi podbicie przyrody w przyszłości; ale tymczasem nie odczuł on jeszcze podboju, tylko stracił swoją własną indywidualność. Tak, stracił swoją imienną duszę! Mistrzu Zarathustro, jak im przywrócić imię, jak, nie niszcząc ładu i podboju przyrody, oddać im duszę?

Wielki mistrzu słowa, obwieszczasz bliźnim swoim nad-człowieka, ja zaś pokazuję tobie pod-ludzi i pytam, co nauka twoja zdoła zrobić z moimi współbraćmi, których obdarto z osobowości, ponumerowane jak bydło.

Poeta płacze, że:

„Przeminął czas, przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza,
Zmalały pieśni pośród nas
I pierś zmalała człowiecza.

Tak, zmalała pierś człowiecza, bo istota imienna stała się co najwyżej ponumerowaną tam, gdzie wymagają od niej jeszcze odpowiedzialności: zmalały jej pieśni, bo nawet tam, gdzie powinna nosić imię, woli zasłaniać się zbiorowością.

A teraz przyjrzyj się, mistrzu nad-ludzkości, jakie zastępy wychodzą z pośród tej rzeszy bezimiennej lub ponumerowanej.

Idą jedni, gorzko zawodząc, że nie mają woli! Biorą do ręki poradniki, które mają im wskazać, w jaki sposób kształcić ten nieistniejący przymiot duszy swojej. Żebracy myśli i uczucia, gotowi pójść za każdym znachorem, który przyrzeknie im powrócić zdrowie. Kiedy lekarz odmówi choremu pomocy, ten chwyta się szarlatanów. Tak czynią ci, którym zbrakło woli, niepomni, że aby mieć decyzyę w swojem jestestwie, trzeba posiadać głębokie uczucia. I ty mistrzu, pomimo iż żyjesz po za światem, dosłyszałeś skargi i zalecasz „twardość," tylko nie pomyślałeś o tem, skąd mogą oni zaczerpnąć hartowności, ci półludzie, bezimienni, nieodpowiedzialni, wgnieceni w tryby i trybiki mechanizmu rzeczowego, rozszarpani przez drobne, choć rozstrzygające o ich istnieniu kłopoty!

Idą i inni, a miano ich idealiści. Uciekają od doczesności, tworzą mary bez ciała, szczęście Nirwany. Ideał ich, to królestwo cieniów, nawet słońce utraciło swój blask gorący, łąka — zbyt silne aromaty, miłość — siłę swoją fizyologiczną, a człowiek stał się manekinem, poruszanym przez subtelne, wyjątkowo sprężyny. Rozanieleni przestali stąpać po ziemi. Nie, ci ojcowie chimer bezcielesnych nie są zdrowymi. Czy widzisz, mistrzu, tego zdrowego kundla na łańcuchu? Rozetnij powróz, a psisko zaskowyczy, będzie w podskokach lizało nawet tego, kto drażnił je w budzie i prześladował. Wierz mi, w jego jestestwie jest teraz więcej idealizmu, niż w zawodzeniach zastępu pospolitych idealistów.

I jeszcze inni głos podnoszą. Złe jest między nami, brat powstał na brata, syn przeciw ojcu. Pojawiają się więc prawodawcy, opracowujący nowe kodeksy cnotliwego postępowania, tak jak właściciel trzody rasowej układa zasady hodowli. Mają oni gotowe schematy, takie suche, takie straszne! „Jakim jest nasz cel? Pragniemy w naszym kraju zastąpić egoizm przez moralność, poczucie honoru — przez uczciwość, dobroć —przez obowiązki." Nie chcą oni ludzi dobrych, nie chcą przyznać ludzi żywych, samorzutnie i bezwiednie siejących szczęście innych, lecz manekinów, które posiadałyby rozkaz wewnętrzny!

Ciągną jeszcze inni, a na ich ustach spoczywa imię twoje, proroku nadczłowieczeństwa. Zowią siebie indywidualistami i marzą o palmie nad-człowieka. Są tam słabi i chorzy, lecz są i pajace ducha. Chorzy, bo wierz mi, że dopiero chory myśli o zdrowiu, które uciekło, zdrów zaś żyje całą istotą swoją i działa. Indywidualista czuje, myśli, ale nie wie, że jest silną osobowością, a przynajmniej o tem nie głosi, uczynki jego bowiem mówią za niego. Lecz jeszcze więcej jest pajaców, wmawiających w siebie, że przywdziawszy ubiór Hamleta lub Romea, posiądą gorzkie zwątpienie jednego i głębokie uczucie drugiego. Są tam próżne mózgi, swoją miną ukrywające czczość wewnętrzną oraz ubóstwo, dzięki któremu nic innego nie mają swoim bliźnim do powiedzenia, prócz zapewnień o swojem nadczłowieczeństwie. Marna rzesza poszła za tobą, mistrzu Zarathustro, rzesza, która twoją ideę zohydziła! Może o niej majaczyłeś, kiedyś mówił: Dem Schweine wird Alles Schwein...

...Przed nami potwór-miasto, utulone w sadzę, przyozdobione w numery. Przed nami rzesze, pozbawione imienia i nawet chęci posiadania imiennej duszy. Przed nami manekiny obowiązków i schematy nie-ciał, wyprzańce współczucia i eunuchy woli. I ty im mistrzu podajesz tablicę z napisem: „Werdet hart!"

Lecz nie poprzestawaj na symbolach słownych, które mogą stać się jako perły rzucane pod nogi trzodzie chlewnej. Mów do nich językiem, który tak mieni się i iskrzy, jak potok spadający z wyniosłości i rozdrobniony na mgły tęczowe. Użyj prostego, rzekłbym, kundlowego stylu i pokaż im żywe obrazy. Poprowadź uczniów w wieki ubiegłe, ukaż im idealistów z krwi i ciała, jak kundel podwórzowy, odtwórz gorące humanitarne ustroje, nieznające obowiązku, ale mające tkliwe serce w piersiach swoich członków, mów im o woli i harcie, które same przychodzą nieszukane i niegłoszone, przedewszystkiem wskrzesz nad-ludzi, którzy swoim współbraciom mają coś powiedzieć i opowiadają to czynem bez drwiącego uśmiechu.

L. Krzywicki.

POEZYE

Z IV seryi „Poezyj."

W MILCZENIU *).

I.

Milczenie, szafirowe niebiosów Milczenie,
Rozesłane na lotnych mgieł błękitny zwiew,
Rozpłynione falami w szumie górskich drzew,
Roztopione złociście na halne zielenie:

Milczenie! Twoje ciche i ogromne tchnienie
Zawisa ponad duszą, jak palmowy krzew
Nad skronią podróżnego... Cichy, słodki wiew
Płynie z ciebie i w duszę sączy ukojenie.

Dusza ludzka, goryczy pełna, pełna krwi,
Ten ptak od skrzydeł swoich odstrzelony gromem,
Dla której śmierć jest trwogą, z której życie drwi:

Pod Twoim szafirowym, Milczenie, ogromem,
Jest, jak dziecko z rodzinnych odepchnięte drzwi,
Które tęskni za swoim utraconym domem.

II.

Bo mi się tak wydaje, jakbym tam w przedczasie
Wisiał kędyś w przestrzeni nad wierchami gór
I bujał się, chwytając mgieł złocistych sznur,
Albo się gdzieś w różowym krył zachodu pasie.

I za jakąż to karę wziąłem ciało na się?
Jakiż to gwałt piekielny w dół mnie strącił z chmur?
Dusza-ż moja nie była jedną z dzikich cór
Przestrzeni, szalejących w światła świetnej krasie?

Nie byłaż mi mgła siostrą i wichr jako brat?
Nie bawiłżem się nigdy z szumem wielkich szczytów,
Aniżem za błyskawic chwytał skrzący bat?

A dziś, siedząc u progu tatrzańskich granitów,
Tych nigdy niepowrotnych już żałuję strat,
Tych wiecznie przeminionych przedżywota mytów...

III.

I czyż nigdy nie wrócę? Czyż to, co się zowie
Życiem, ma być mi wszystkiem? Czyliżbym już miał
Nigdy—przeżywszy chory, nędzny żywot ciał—
Nie powstać na pierwotne, wieczne ducha zdrowie?

Czyż duch mój nie jest w przemian wieczystych okowie?
Gdy się ciało rozłoży na pierwiastków miał,
Czyż nie godne, by duch mój w nowym kształcie wstał
Jasny, jak rozpętani błędni aniołowie?

Czyż nigdy nie powrócę bujać tak, jak wprzód
Na niezmierzonej fali sennego Milczenia?
Jak jeleń ze zwierzyńca wypuszczony wrót?

Na nowe, nowe życie! Na szerokie tchnienia!
Na wyżynę, skąd świat się wydaje, jak cud!
Na bezkres!.. Czyż śmierć nie jest progiem odrodzenia?

IV.

O Boże! Wszakże indziej kędyś jest stworzony
Na niedostępnych głębiach jakiś inny świat!
Świat prawdy, dobra ciszy, bez win i bez spłat,
Bez krzywd i bez pamięci o krzywdzie zrządzonej.

O Boże! Wszakże jakieś są w Przestrzeni strony,
Gdzie widzenie przed duszą nie stoi, jak kat
Z rozpaloną obcęgą, gdzie za czynem w ślad
Nie bieży myśl podobna do siostry strapionej.

O Boże! Wszakże kędyś nie cierpi się wciąż
Nad traconą z dniem każdym duszy anielskością,
Nie syczy tam Ironii własnej straszny wąż...

O Boże! Wszakże kędyś żyje się światłością...
O duszo! Na mistyczne twoje Łąki dąż
I olbrzymią Milczenia owij się cichością...

*) Sonety te są drugim ustępem poematu, z którego pierwszy ustęp „Na szczycie" drukowałem w *Ateneum*, a który w całości będzie umieszczony w wydanej obecnie seryi IV moich „Poezyj."

Sferyczne duchy lotu. Na moje przymknione
Powieki kładźcie ręce, sączcie balsam z rąk...
Pójdźmy na złotą zieleń balsamicznych Łąk,
Na Łąk pachnących idźmy zieloną rozponę...

Precz ciała ludzkie chore, nędzą pochylone!
Precz dusze ludzkie, krwawych niewolnice mąk!
Precz poznanie! Precz wiedza! Precz szatański [ciąg
Myśli, co w bezdeń z urwisk patrzą się szalone!

Precz myśli, które patrzą z urwisk w bezdeń zła
Własnej duszy i cudzych dusz aż do zawrotu!
Precz ta myśl, co nad życiem zawodzi i łka!

Precz bólu, wstręcie żalu! Śruby kołowrotu,
Na którym dusza ludzka krwawiąca się drga —
Na zieleń Łąk mnie wiedźcie, jasne duchy lotu...

Kazimierz Tetmajer.

W DALI.

Lublin. W Lublinie rozwinęła się ospa z ostrym przebiegiem. Z tego powodu miejscowe Towarzystwo lekarskie na ostatniem posiedzeniu opracowało plan walki z tą chorobą i postanowiło go przedstawić gubernatorowi miejscowemu. Walka polega na szczepieniu ospy wszystkim dzieciom do lat 10 i na powtórnem szczepieniu starszym. Celem ułatwienia zadania, Lublin podzielono na 10 okręgów. Przed dniem 1 kwietnia każdego roku właściciele domów powinni złożyć spis zamieszkałych u nich dzieci, poczem lekarz, któremu okrąg powierzono, winien w ciągu sześciu tygodni w każdym domu dokonać szczepienia i złożyć dokładny wykaz wszystkich szczepień. Koszty nie są duże. Towarzystwo żąda jako wynagrodzenie dla 10 lekarzy, tylko 500 rb. rocznie, tj. po 50 rb. dla każdego, oraz 150 rb. na kupno detritu.

Białystok. P. minister skarbu zatwierdził ustawę szkoły handlowej 7-klasowej w Białymstoku, którą zakładają fabrykanci, kupcy i inni mieszkańcy miejscowi. W razie przewyżki wydatków szkoły nad jej dochodami, założyciele zobowiązują się różnicę pokryć z własnych środków. Program wykładów ten sam, co i w innych szkołach 7-klasowych ministeryum skarbu. Pierwszeństwo mają dzieci założycieli, następnie, o ile będą miejsca wolne, dzieci mieszkańców Białegostoku i wreszcie zamiejscowi. Wychowańcy korzystają z praw uczniów szkół realnych pod względem powinności wojskowej.

Wilno. *Siew. Zap. St.* donosi, iż wileńskie Towarzystwo rolnicze wkrótce rozpoczyna swą działalność. Ustawa uzyskała zatwierdzenie ministeryum rolnictwa i dóbr państwa. Towarzystwo ma na celu dopomagać w gub. Wileńskiej do rozwoju i udoskonalenia gospodarstwa i przemysłu rolnego. W tym celu bada stan różnych gałęzi rolnictwa, rozpowszechnia teoretyczne i praktyczne wiadomości z dziedziny rolnictwa drogą urządzania odczytów, własnego organu rolniczego, oraz zakładania szkół rolniczych, bibliotek i muzeów. Towarzystwo podejmuje się zaopatrywania ziemian w przedmioty niezbędne w rolnictwie, ułatwia im sprzedaż produktów rolnych, otwiera biura komisowe, składy rolnicze itp. Pozostaje ono w zawiadywaniu ministeryum rolnictwa i dóbr państwa. Prezesem Towarzystwa jest z urzędu gubernialny marszałek szlachty.

Kijów. R. t. Tereszczenko złożył na ręce prezydenta miasta sumę 150,000 rb. na budowę gmachu miejskiej szkoły początkowej dla 300 chłopców i dziewcząt, oraz na urządzenie muzeum pedagogicznego. Ofiarodawca życzy sobie, aby szczególny nacisk położono na naukę kreślenia, rysunku, kaligrafii, pracy ręcznej dla chłopców i robótek dla dziewcząt, jako też na naukę gimnastyki i śpiewu.

Moskwa. W sprawie zamknięcia wydawnictwa *Gazeta Moskiewska* w r. 1894 na zasadzie art. 121 ustawy cenzuralnej, z powodu niezatwierdzenia przez p. ministra spraw wewnętrznych żadnego z przedstawionych przez wydawcę kandydatów na redaktora w ciągu roku, senat dał doniosłe wyjaśnienie, które *Now. Wrem.* streszcza w ten sposób: „Senat wzjaśnił, że wyrażenie cytowanego art. 121 o nieważności koncesyi na pismo, o ile „dla jakichkolwiek przyczyn nie wyjdzie ono w ciągu roku, ma być rozumiane zgodnie z ogólnym duchem ustawy cenzuralnej i że nie może się stosować do danego wypadku. W motywach swych senat objaśnia, że przeciwne tłomaczenie art. 121 ustawy cenzuralnej byłoby przyznaniem p. ministrowi spraw wewnętrznych nietylko dyskrecyonalnej władzy zatwierdzania lub niezatwierdzania redaktorów, ale również dyskrecyonalnego prawa zamykania wydawnictw peryodycznych, każde bowiem pismo czy to z powodu śmierci redaktora lub usunięcia się tegoż mogłoby, na mocy art. 121 tejże ustawy, znaleźć się w podobnym wypadku. Minister mógłby w ciągu roku niezatwierdzić nowego redaktora, a potem ogłosić zamknięcie pisma. Ustawa zaś ściśle rozgranicza prawa prywatno-cywilne i stronę literacko-polityczną wydawnictw peryodycznych. Jeśli co do tej ostatniej nadaje ministrowi spraw wewnętrznych najrozleglejszą władzę w stosunku do redaktora odpowiedzialnego, to wzamian stosunki prywatno-cywilne, wypływające z prawa własności, usuwa z pod jego wyłącznej kompetencyi, zezwalając na odjęcie tych praw w drodze procedury specyalnej, na mocy rozporządzenia I-go departamentu senatu rządzącego (art. 108). Zapadłe następnie Najwyższe Ukazy: 1882 roku (uwaga do 148 art. ust. cenz.) o zamykaniu pism na mocy kolegialnej uchwały ministrów spraw wewnętrznych, oświaty, sprawiedliwości, ober-prokuratora św. Synodu i ministra, który podniósł sprawę; oraz w r. 1897 warunkujący przelew własności pisma zezwoleniem ministra spraw wewnętrznych, wprowadzają tylko drobne zmiany w ustawie cenzuralnej, nie uchylając głównej zasady, tj. rozróżniania praw cywilno-prywatnych wydawcy i literacko-politycznych redaktora. Co do władzy dyskrecyalnej ministra spraw wewnętrznych, dotyczącej zatwierdzenia redaktora, senat wyjaśnił, że fakt ten zależy od osobistego poglądu ministra, którego przewidzieć z góry wydawca nie może; okoliczność więc, że przedstawił on szereg kondydatów, dostatecznie stwierdza chęć jego do wydawania pisma i jeśli pomimo to starania nie osiągnęły skutku, to w każdym razie należy uznać, że pismo nie wyszło w oznaczonym terminie z powodów niezależnych od wydawcy." Senat postanowienie ministra spraw wewnętrznych co do zamknięcia wydawnictwa *Gazeta Moskiewska* uchylił i wskazał wydawcy, że na powolne załatwienie sprawy tej przez wydział prasy winien wnieść skargę do p. ministra spraw wewnętrznych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na początku roku 1900 otwarta będzie w Warszawie kasa pożyczkowo-oszczędnościowa pracowników zakładów, zależnych od rady miejskiej dobroczynności publicznej.

— W Staszowie (gub. Radomskiej) utworzono kasę pożyczkowo-oszczędnościową i straż [illegible] ochotniczą. W tem samem mieście loterya fantowa, urządzona na rzecz szpitala miejscowego, dała 600 rb. dochodu *netto*.

— Przy ministeryum sprawiedliwości osobna komisya opracowywa obecnie sprawę walki z żebractwem. Komisya dzieli żebraków na dwie kategorye: zawodowych i nieszczęśliwych, projektując dla pierwszych utworzenie domów roboczych, jako instytucyj karnych, z bardzo surowym regulaminem. Prawo oddawania żebraków do domów roboczych, zarówno jak i do wszystkich instytucyj karnych, ma przysługiwać wyłącznie władzom sądowym. Jeśli projekt będzie przyjęty, w takim razie domy robocze powstaną we wszystkich punktach państwa.

— Osobna komisya, pracująca pod przewodnictwem pomocnika generał-gubernatora warszawskiego, r. t. I. G. Podgorodnikowa, uznała za konieczne zgromadzić dane o korzystaniu Żydów z gruntów włościańskich i dworskich w obrębie wiosek. W tym celu komisarzom włościańskim polecono obliczenie Żydów - właścicieli na zasadzie zapisania samych właścicieli do tabell, na podstawie spadkobrania według prawa lub też na innych podstawach (akty notaryalne itp.), nieulegających zmianie, na zasadzie aktów, dotyczących dzierżawy ziemi lub też rozporządzeń testamentowych, wreszcie na podstawie umów prywatnych piśmiennych lub ustnych, dotyczących terminowej dzierżawy ziemi, sadyb, mieszkań, ogrodów itp. Za jednostkę obliczenia przyjęto osobne „władanie," przyczem należy zbadać wszystkie sadyby włościańskie i części kolonii, mające charakter gospodarstwa włościańskiego (zabudowania, inwentarz żywy i martwy, ziemia orna itp.) bez względu, czy prawa właściciela są legalne czy też nielegalne. Ta sama komisya, jak donosi *Warsz. Dn.*, przystąpiła do gromadzenia danych, dotyczących liczby i cenzusu wykształcenia osób, zamieszkałych w Królestwie Polskiem, zajmujących się dokonywaniem robót pomiarowych na gruntach włościańskich i niewłościańskich, (na służbie rządowej, lub wolnopraktykujący). W wykazach mają być umieszczeni i ci z geometrów, którzy obok instytucyj włościańskich służą w izbie skarbowej, zarządzie dóbr państwowych i Towarzystwie kredytowem ziemskiem.

Szkoły. Rada uniwersytetu moskiewskiego, pragnąc przystąpić do zorganizowania kółek studenckich, wystosowała do uniwersytetów w Monachium, Lipsku, Heidelbergu i Pradze prośbę o nadesłanie ustaw korporacyj studenckich.

— Pisma donoszą, iż wszyscy naczelnicy dyrekcyj naukowych w Królestwie otrzymali już urzędowy okólnik kuratora warszawskiego okręgu naukowego z następującemi wskazaniami co do wykładu religii i języka polskiego w szkołach ludowych: 1) nauczyciele mają prawo „wybrania do wykładu religii dni i godzin, dla siebie najdogodniejszych"; 2) czas przeznaczony na wykład języka polskiego „należy zużytkować takim sposobem, ażeby zajęcia uczniów miały na celu głównie przyswojenie sobie czytania i pisania po polsku."

Prasa. Postanowiono wydawać w Helsingforsie dziennik urzędowy w języku rosyjskim i fińskim.

Konkurs. *Gazeta sądowa* rozstrzygnęła swój konkurs. Nagrodę (100 rb.) otrzymał p. S. Posner za pracę p. t. „Główne zagadnienia literatury prawa handlowego z ostatniego dziesięciolecia." Nadto, uznano pracę p. t. „Indywidualizacya kary," za odpowiednią do druku, z pewnemi zmianami.

Odczyty. W Muzeum przemysłu i rolnictwa odbywają się nareszcie kilkakrotnie odkładane popularne odczyty przyrodnicze. Rozpoczął je d. 20 i 22 b. m. p. Witold Wróblewski wykładem o kosmogonii ziemi. W dalszym ciągu zapowiedziano na 25 b. m. odczyt p. Gabryela Tołwińskiego „O zetknięciu ziemi z kometą," d. 29 p. Stanisława Kramsztyka „O postaci, wielkości i ciężarze ziemi," d. 6 grudnia p. Bronisława Znatowicza „O martwej przyrodzie" i 9 „O metalu w pojęciu chemika": d. 13 i 16 p. Józefa Morozewicza „O drogich kamieniach" i d. 18 grud. p. Wacława Jezierskiego „O podziemnych przestrzeniach." Ceny biletów od 10 do 50 kop.

Wystawy i zjazdy. Czynności zjazdu budowniczych w Petersburgu zaczną się 26 stycznia r. p. W tym dniu będzie również otwarta wystawa budowlana.

— W ostatnich dniach marca będzie otwarta wystawa archeologiczna w Kaliszu.

Zmarli. Adam Mioleszko-Maliszkiewicz, w Żytomierzu, poeta i tłomacz Heinego, badacz pamiątek historycznych. Wydał zbiór poezyj p. t. „Pyłki" (r. 1860). Pozostawił sporo prac w rękopisach.

— Maksymilian Kantecki, naczelny redaktor *Kuryera Poznańskiego*.

— Feliks Jasiński w Petersburgu, profesor instytutów komunikacyi, górniczego i inżenierów cywilnych, tudzież pomocnik inżeniera głównego na kolei Mikołajewskiej.

— Daniel Dupuis, w Paryżu, znakomity rytownik.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Józefowi Majerowi w Poznaniu. Udzielanie rad ogrodniczych nie należy do zadań naszego pisma. Wątpimy przytem, czy nawet specyalny organ

zdołałby odpowiedzieć na pytanie Pańskie postawione tak ogólnie: „ile nakładów wymagałoby założenie wielkiego ogrodu.“ Musiałby on bowiem znać mnóstwo szczegółów, zbadać rzecz na miejscu i dokonać drobiazgowych obliczeń.

Pani Wandzie O. w Mohylewie. Najpewniejszych wskazówek udzieli jej redakcya *Ogrodnika polskiego* lub *Pszczelarza i ogrodnika.*

Or. G. W opowiadaniu Pani jest pewien talent i gorące uczucie, ale za dużo słów. Te samy myśli są wielokrotnie powtórzone prawie w tych samych wyrazach. Ażeby utwór ten mógł być artystycznym, należałoby przedewszystkiem lepiej wypełnić obraz i zmniejszyć jego ramy. W obecnym stanie zamiast wzruszać — nuży.

Nr. 32. Rad tego rodzaju nie udzielamy, gdyż: 1) nie możemy przyjmować na siebie nawet moralnej odpowiedzialności za bezpieczeństwo ulokowanego kapitału a 2) nie posiadamy należytego w tym przedmiocie doświadczenia i znajomości rzeczy. Praktyczną wskazówkę mógłby dać tylko jakiś uczciwy adwokat, rejent lub biegły finansista.

Panu Zaw. w Rydze. Byłoby to bardzo dobrze, gdyby było napisane z talentem i większą starannością. Niech Pan nigdy nie używa ani „nonszalancyi,“ ani „per ty,“ ani „wątpień w przywiązanie,“ ani „skandalicznych podobieństw,“ ani innych tego rodzaju wyrażeń, bo one sprawiają ból przy czytaniu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Ноября 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.